

HUSYCI

NA GÓRNYM ŚLĄSKU.



MIKOŁÓW, WOJ. ŚL.

NAKŁADEM K. MIARKI, SPÓŁKI WYD. Z OGR. POR.

06591

HUSYCI NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

— — — — —
OPOWIADANIE Z XV WIEKU

PODŁUG

KRONIK I USTNEGO PODANIA LUDU

PRZEZ

Ś. P. KAROLA MIARKE.



Nakładem i drukiem K. Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.
Mikołów, Wojew. Śląskie.



21282 5

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 251 / 2015 2651



I.

Chatka wieśniacza.

Kogo Bóg kocha, krzyżyki mu daje,
Tylko cierpliwy szczęśliwy zostaje;
Mocno w to wierzyć człowiekowi trzeba,
Że bez krzyżyków nie przyjdzie do nieba.

Miedzy Markłowicami a Jankowicami była na początku XV wieku mała kolonia, nazwiskiem Bijasowice, z której teraz niema ani śladu. Wioska ta mała liczyła w całości ośm ubogich chatek, z których jedna na samym końcu stała jak opuszczona, mając dach odarty, ściany pochylone a okna dziurawe i mchem pozatykańe. Mógłbyś pomyśleć, że mieszkaniiec leniwym był gospodarzem. Nie sądź jednak przedwcześnie! Wnijdź do chałupki, poznaj mieszkańców, a chociaż znajdziesz wielkie pod strzechą ubóstwo, to się jednak przekonasz, że ludzie tej chaty należą do tych ubogich, których Bóg przez dopuszczenie doświadcza i którym przez nieszczęście doczesne, gotuje drogę do szczęśliwości wiecznej.

Przy łożu chorej synowej siedzi stary Mikołaj i odmawia pacierze, często ocierając łzy obficie płynące. Niewiasta leży w największym nie-

dostatku; pierś jej ciężko się wznosi, wargi spalone i od gorączki popuchnięte, są otwarte a język jej suchy, chociaż staruszek często podaje wody na ochłodzenie.

Wtem zaskrzypiały drzwi i wchodzi stara Magdalena, znajoma z Jankowic.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! kochany Mikołaju! — mówi, wchodząc do izby — słyszałam, że Jadwiga ciężko choruje i przyszłam was odwiedzić, a jeżeli potrzeba, chorą pielęgnować, boście sami, pomocy więc wam potrzeba!

Wtem chora się przebudziła z marzenia gorączkowego i pyta, czy jeszcze męża nie widać.

— Uspokój się, przyjdzie on pewnie niedługo — odpowiada Mikołaj — oto masz wodę, umaczaj wargi i język!

Chora bierze wodę podaną, lecz pije tylko z trudnością. Obróciwszy się następnie na bok lewy, przyciska do serca macierzyńskiego dziecie, które śpi jak aniołek; uśmiechnąwszy się na łożu boleści, po krótkim czasie znowu zasnęła.

— Miły Boże — zagadnęła stara Magdalena — któżby też to przed rokiem był pomyślał, że dzisiaj tak wielką nędzę cierpieć będziecie? Znałam was w Jankowicach, siedzieliście na gospodarstwie wielkiem, pamiętam syna waszego wesele! O! jak szczęśliwa wtedy była Jadwiga, a dzisiaj stękacie wszyscy w największym niedostatku.

— Nieprzewidziane są wyroki Pańskie: Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje wola Jego święta — odpowiedział Mikołaj. — Pana nasz Nieba i ziemi wie najlepiej, czemu na nas zesłał to nawiedzenie. Tak mnie też pocieszał Ksiądz dobrodziej ostatniej niedzieli, i odtąd zdaje się zupełnie na wolę Ojca niebieskiego.

— Ale powiedzcież mi, kochany Mikołaju — pytała się stara Magdalena dalej — czemuż was też to wypędzili z waszego gospodarstwa w Jankowicach. Ludzie mówią o różnych przyczynach, chętniebym przeto prawdy doszła, ręcząc wam, iż jestem jaknajmocniej przekonana, żeście przeciw panu samochcąc nie zawinili i tej nędzy terażniejszej sobie nie zasłużyli.

— Bóg wie, że nie — odpowiedział Mikołaj z westchnieniem. — Pamiętacie, Magdaleno, nieboszczyka pana na Jankowicach, Boże świeć jego duszy. O! był to dobry pan, i kochaliśmy go jak ojca. Byłem u niego w wielkiej łasce i dobrze mi się wiodło na gospodarstwie, po ojcu i pradziadku odziedziczonem. Dopóki nieboszczyk pan żył, byliśmy szczęśliwi i żyliśmy w spokoju, bo się go bali sąsiedzi, a nawet okrutny Jastrzębiec mijał go, wiedząc, iż pan nasz nie da sobie dmuchać w kaszę. Gdy jednak go Bóg przed dwoma laty powołał do Siebie, wszystko się zmieniło. Pan Runsztajn, powszechnie Jastrzębiem zwany a panujący na zamku jastrzębskim,

za życia nieboszczyka jegomości nigdy do Jankowic nie zajrzał, bo nasz pan, jako dobry Polak, Niemców nie lubił. Skoro go jednak pochowali, częściej zajeżdżał do zamku naszego, natrętnie się jegomościńce oświadczać. Biedna wdowa bała się go jak ognia, wiedziała bowiem dokładnie o wiadomościach przez lud rozpowszechnianych, że Jastrząb z pierwszemi żonami swemi sromotnie się obchodził, a mówią nawet, że dwie pierwsze żony jego przed czasem poszły do grobu. Gdy Jastrząb narzeczcie dziedziczkę naszą chciał pojąć za żonę, a ona mu statecznie oświadczyła, że nieboszczykowi mężowi wierność chce dochować do śmierci, odjechał rozgniewany, lecz za trzy dni napadł ze swemi rabusiami na Jankowice, zamek spalił, i wydarł wdowie i sierocie dziedzictwo odebrane w spuściźnie po ojcu. Pani zaś, wraz z swym synem, zaledwie życie ocalili. Jastrząb natomiast, dowiedziawszy się, iż to ja pani pomocnym byłem w ucieczce, zwrócił na mnie całą swoją zemstę.

— A wiecie, kochany Mikołaju, gdzie się teraz pani znajduje? — zapytała Magdalena.

— Słyszeliśmy, że się utrzymuje na dworze Mikołaja, księcia raciborskiego, i że księżę ostro się upominał, aby Jastrząb wdowie i sierocie Jankowice oddał. Jastrząb jednak w mocnym zamku drwi sobie z księcia i Bóg wie, czy jeszcze

kiedy ukochaną dziedziczkę i panicza naszego zobaczymy.

Westchnąwszy Mikołaj, zadumał się, a Magdalena w te się odezwała słowa: Kochany przyjacielu! o ile wiecie, przeżyłam już blisko dwięćdziesiąt lat na tym Bożym świecie, ale o takich okrucieństwach, jakich się dzisiaj niektórzy panowie dopuszczają, jeszcze nie słyszałam. W dawnych czasach byli wszyscy panowie Polakami, wraz z nami chodzili do kościoła, do Spowiedzi św., ale od czasu, jak się Niemcy na państwa wdzierają, niech się Bóg zmiłuje, co to za kara przyszła na ludzi. Panowie Niemcy napadają na nasze stare państwa, wydzierają wsie, rabują i popełniają wszelkie nieprawości!

W tej chwili przerwała chora dalszą rozmowę, pytając się, czy jeszcze męża nie widać, a stary Mikołaj jak mógł ją uspokajał.

Gdy nieboga znowu zasnęła, rozplakał się stary Mikołaj, nie chcąc zaś chorej przebudzić, odezwał się przytłumionym głosem do Magdaleny: Mój Boże, nic mi tak nie dolega, jak jednostajne pytanie się biednej Jadwigi o jej męża, a syna mojego, którego gorąco miłuje, a którego, Bóg wie, czy jeszcze kiedy zobaczy.

Wypowiedziawszy to, zakrył oczy dłońmi i gorzko zaszlochał.

Po niejakiem czasie zapytała znowu Magdalena z współczuciem: Powiedzcie mi, mój kochany, czemuż Jastrząb syna waszego właściwie zabrał ze sobą?

— Już wam mówiłem — odparł na to Mikołaj, ocierając oczy rękawem — że Jastrząb się na mnie mści o to, ponieważ dziedzicze i małemu paniczowi w ucieczce byłem pomocny. Ile razy z Jastrzębia do Jankowic przyjechał, zawsze zemstę swą mi okazywał. Ostatniej zimy polując w lasach przy Jankowicach, z całą czeredą przyjechał do Jankowic właśnie w drugi dzień wesela syna mojego. Ujrzawszy Jadwigę, spodobała się jego gwałtowności i żądał od niej zadosyćuczynienia swej woli. Ona się wzbraniała, groziła, że się przebije nożem, jeżeli jej gwałt uczyni, więc rozgniewany pan rozpędził całe wesele, synowi mojemu kazał iść do łowiectwa leśnego i zatrzymał go po polowaniu na zamku jastrzębskim, gdzie biedny Maciej dotąd psy karmić musi. W czasie tym często zajeżdżał do nas, raz łaski obiecując, to znowu ogromnie grożąc, jeżeli się synowa do zamku jego nie stawi. Mścił się zaś nad nami wszystkiemi o to, że nigdy Jadwigi nie znalazł w domu, chowała się bowiem zwykle u sąsiadów, a najczęściej po lasach, aby ujść jego prześladowań. Tak przemieły trzy miesiące; na nieszczęście zdechł jeden z psów, synowi mojemu poleconych, a pan już przedtem na nas roz-

gniewany, kazał syna niemiłosiernie obić, nas zaś wyrzuciwszy z Jankowic, w tej tu opuszczonej budzie osadził. Odtąd znacie życie nasze: ja pasę bydło sąsiadom, synowa pomaga im w pracach polnych i żyjemy jak możemy. Jadwiga była nawet szczęśliwą z tej przemiany, aż teraz zachorowała, i to pewnie z zaziębienia w tej lichej chałupie. Przed tygodniem porodziła syna; byłaby to radość wielka, gdyby matka była zdrowa, a syn mój w domu.

Macie przynajmniej to zadosyćuczynienie — zauważyła po krótkiej chwili stara Magdalena, smutnem położeniem nieszczęśliwej rodziny do łez wzruszona — żeście niewinnie przyszli do nędzy waszej; pokładajcie swą ufność w Bogu, a On wam z pewnością pomoże!

— To też jest jedyną moją pociechą — odrzekł stroskany Mikołaj — żeśmy niewinni! Cieszę się tą wiarą, iż lepiej nam cierpieć na świecie, jak pokutować po śmierci za różne przewinienia, których się człowiek przeciw Bogu dopuścił. Bóg-wie, co jeszcze nas czeka! Oto słysząc wieści okropne o Husytach, którzy katolików a osobliwie księży niemiłosiernie męczą i zabijają, majątki rabują, wsie i miasta palą, a nawet niemowlętom w kolebce nie przepuszczają.

— Niech się Bóg zmiłuje — westchnęła Magdalena, pobożnie się żegnając; — wszystek lud

plakał w przeszłą niedzielę, gdy ksiądz kapelan nam opowiadał o okrucieństwach, które Husyci w różnych miejscowościach popełnili. Napominał nas ze łzami, abyśmy się modlili nieustannie i w czasie pokusy nie upadli, ale chętnie każdy krew i życie ofiarował w obronie wiary świętej i ojczyzny naszej.

Chora ciężko stękała, a gdy Mikołaj się pytał, czy jej ma wody podać, rzekła boleśnie: Drogi ojcze, wodą nie ugaszę ognia wewnętrznego. Oto nieboszczka matka moja ukazała mi się i wołała mnie skinieniem ręki za sobą. Pytałam się jej, gdzie mam iść, a ona mi odpowiedziała, że tam gdzie i kapłan Walenty pójdzie. Więc wiem, że już nie ozdrowię, proszę was, idźcie tatusiu po Księdza dobrodzieja, abym się z Bogiem pojednała. Lecz spieszcie się, bo przeczuwam, że ostatnie chwile życia mego dobiegają! Boże! ciężko umierać matce, kiedy dziecię nowonarodzone opuścić musi; ciężko umierać żonie, kiedy się z mężem pożegnać nie może. Lecz wola Twoja niech się dzieje, o Boże! Spieszcie, złoty tatusiu, a wy kochana Magdaleno, módlcie się za mnie, aby się Bóg nade mną według Swego wielkiego miłosierdzia zmiłować raczył.

Mikołaj zabierał się do Rybnika po księdza, od wielkiego żalu ani słowa nie mogąc wyrzec. Magdalena podała chorej krzyżyczek od paciorków

do pocałowania, a ukleknawszy przy łożu chorej, zaczęła odmawiać koronkę.

Poznaliśmy więc, mili Czytelnicy, przyczynę ubóstwa. A tak jak rodzinie Mikołaja, tysiącom biednych chłopków się powodziło. Chłopi owych czasów byli w najopłakańszem położeniu; każdy należał do pana, i nie mając nic własnego, nie śmiał nawet opuścić wioski rodzinnej. Był zupełnie oddany na wolę dziedzica, który z nim mógł uczynić, co mu się podobało. Byli między dziedzicami i ludzie sumienni, a byli to przeważnie panowie rodu polskiego; lecz większa część, pochodząca z rodu niemieckiego, najgorszy nieład wprowadziła do kraju, i tylko szkoda wielka, że z czasem i polscy panowie przykład niemiecki mniej lub więcej naśladowali.

II.

Jastrząb, zamek rozbójniczy.

Ku południu od Bijasowie rozlegały się ogromne lasy, przez które mało kto wędrował, już to dla tego, że droga przez nie dla licznych pagórków, przepaści i dolin nader była niebezpieczną, już to z bojaźni przed rycerzem, który wśród lasów mieszkał i dla zdzierstwa i drapieżności nienasyconej, powszechnie Jastrzębiem był zwany.

Nie był on Polakiem, lecz pochodził z krajów niemieckich; od króla czeskiego otrzymał za jakąś zasługę wioski Połomię i Świerklany. Polującemu w przyległych lasach upodobała się dzika okolica, licznymi pagórkami i dolinami poprzerynana, i tam też zamieszkał, wystawiwszy sobie poprzednio mocny i obszerny zamek rycerski. Postawiony na najwyższym wzgórzu wśród lasów, gdzie dziś dwór Górnojastrzębski stoi, był on gniazdem rozbójników, a zarazem postrachem całej okolicy. Jastrząb prowadził tu życie według zwyczaju rycerzy niemieckich, t. j. napadał na sąsiadów i wydierał im ich mienie, jak np. wdowie w Jankowicach. Przytem wszystkie drogi obstawione były jego czatownikami, którzy mu o przejeżdżających kupcach donosili. Biada owym nieszczęsnym, jeżeli nie mieli dobrej straży przy

sobie, bo Jastrząb nietylko majątek, ale i wolność im odbierał, wtrącając ich do podziemnych lochów zamku swojego, z których tylko drogim okupem wyzwolić się mogli.

W niedzielę przed Bożem Ciałem zamek Jastrzębia grzmiał od uciech i wszteczeństw biesiadujących gości. Nikt tu nie myślał o dniu świątecznym. W obszernej sali około ogromnego stołu siedzieli goście i towarzysze Jastrzębia, jedząc, pijąc, bluźniąc i przechwalając się z popełnionych rabunków. Liczna służba donosiła miodu i wina w ciężkich kamiennych i cynowych dzbankach, dwaj obcy muzykanci przygrywali i śpiewali różne pieśni nie zawsze przyzwoite, a o ściany odbijały się kłatwy i głośne śmiechy biesiadujących. Na raz ucichli wszyscy, bo z najwyższej wieży zamku głośno się trąbka stróża rozległa.

— Cóż to? — wrzasnął Jastrząb — któż nadjeżdża? Wilku, bież i wytrzeszcz ślepska i donieś, co to znaczy. A pospiesz się, bo ci czepań (łeb) twoją rozplątam!

Sługa, którego dla jego drapieżności Wilkiem zwano, spieszył czempředzej do drzwi, a po krótkim czasie oznajmił, iż liczne rycerskie towarzystwo do zamku się zbliża; ponieważ jednak jest jeszcze daleko, przeto nie można rozpoznać, ażali w przyjaźni albo nieprzyjaźni nadjeżdża.

— Więc trzeba być w pogotowiu — krzy-

knął Jastrząb — do broni bracia! bo ta sowa na wieży ciągle trąbi.

Porwali się biesiadnicy, opatrzyli się w zbroje żelazne, miecze przypasali i hurmem wypadli na plac wałami i murem obwarowany, aby nadjeżdżającego godnie przywitać.

Wyglądając z poza murów, widzieli nadjeżdżających około stu żołnierzy, a na ich czele czarnego rycerza nadzwyczajnej wielkości, który siedział na dzielnym rumaku.

— Bracia — rzekł Jastrząb do towarzystwa swojego — to są widać śmielcy potężni, ale czemuż nie dadzą znać, w jakim przychodzą zamiarze!

— Kto wie — odpowiada rycerz Pietrowski — czy to nie Mikołaj raciborski nadjeżdża; wiesz przecie, że ci groził o Jankowice!

— Zacząłby się niezły taniec — rzekł na to Jastrząb zatrwożony. — Ale chociażby i sam lucyfer nadjechał do gniazda mojego, jednak nie śmiało doń wlezie. Spróbuj nas, Mikołaju! Poznasz rycerza niemieckiego, a zasmakujesz polewki górskiej! Bądź ty księciem, bądź i królem, na moim zamku jestem ja królem!

Podczas tej rozmowy i bluźnierstwa na własnego księcia, czereda nieznajoma stanęła przed zamkiem, rozwinęła chorągiewkę białą na znak przyjaźni, a przewodnik, ów czarny rycerz, zatrał na srebrnym rogu.

Wrzask ogromny przywitał go w zamku, bo teraz wszyscy poznali nadjeżdżających.

— To czarny rycerz z Pszczyny! — wrzasnął Jastrząb. — Hola, ho! otwierajcie bramę, a wy ciury odbierajcie konie i opatrście je w obrok!

Skrzypnęły wrota na łańcuchach, spuszczone most zwodzony nad przepaścią zamek otaczającą, a czarny rycerz z całą czeredą wpadł na dworzec zamkowy, zsiadł z konia zapienionego i rzucił się w objęcia Jastrzębia.

— Witaj, bracie, witaj! — zawołał Jastrząb — pójdz do zamku, trafiłeś w szczęśliwą godzinę, przedwczoraj bowiem odebrałem kupcom raciborskim cztery wozy węgrzyna, przeto sobie należycie popijemy.

Przybyły rycerz z powodu czarnego pancerza i uczynków swoich „czarnych Jerzym“ zwany, nawzajem dziękował krótkimi słowy gospodarzowi i witał się z innymi znajomymi rycerzami. Zaczęła się na nowo pijatyka i rozpustna biesiada.

— Ale powiedz mi, Jerzy — zapytał Jastrząb po wypróżnieniu pierwszego puhara — cóż cię tu przyniosło? Czy masz na kogo jaką chrapkę i idziesz wołać nas na pomoc? Albo czy szukasz jakiej zaczepki? Może chcesz Żorzanom odpłacić ostatnią bijatykę, przy której ci zuchwalecy, jak słyszałem, dobrze wygrzmocili plecy!

— W samej rzeczy — odparł Jerzy, ciężko

zakłąwszy — chciałbym tych mieszczuchów moresu nauczyć i ciebie wezwać do pomocy, bo te szczury miejskie coraz więcej się wzmagają; ale wiedzie mnie ważniejszy interes do ciebie. Mikołaj, ksiązę raciborski, przysłał mi wezwanie, abym się na św. Antoniego przed jego sąd stawił i tam się jak uczeń szkólny usprawiedliwił z jakiejś krzywdy, którą Pawłowskiemu i Golasowskiemu, a kto wie, komu jeszcze miałem wyrządzić. Błazen! cóż to sobie myśli? Kazałem mu powiedzieć, że ma tak daleko do mnie, jak ja do niego; a jeżeli do mnie przyjdzie, to sobie niech żęby naostrzy, aby ich sobie na murach zamku pszczyńskiego nie wygryzł.

— To mi zuch, to mi odpowiedź! — krzyknął Jastrząb. — Hola chłopcy, nalejcie dzbanki, ażeby sobie popić na tak zdrową odprawę! Niech żyje Jerzy, waleczny rycerz pszczyński!

— Niech żyje! niech żyje! — wołali wszyscy, wypróżniając swe dzbanki.

— Panie bracie — zabrał teraz głos Jastrząb — i mnie Mikołaj taką szmatę popisana nadesłał, pozywając także na świętego Antoniego przed siebie do Raciborza. Kazawszy sobie przeczytać, gdyż jak wiesz, czytać nie umiem, zwróciłem mu piśmidło jego i kazałem powiedzieć, że tak się rycerzom nie rozkazuje, szmatę zaś może sobie użyć na pościel, jeżeli mu się twardo leży.

Dureń polski, niech sobie rozkazuje Lachom, ale nie nam rycerzom niemieckim.

— Bracia — odezwał się na to czarny Jerzy — rozmyślałem długo, jak Raciborzanowi odwetować, i należycie mu się odplacić za jego dumę, aż tu naraz śliczna nadarzyła się sposobność. Oto Wacław, rycerz na Grojcu, przyjechał do mnie i oznajmił mi, że Husyci zamierzają wpaść w kraje raciborskie i że ma od nich polecenie, aby między rycerstwem śląskiem zbierał sprzymierzeńców.

— Hura! bracie, my z nimi! — zawołał radośnie Jastrząb i wszyscy goście za nim — my z niemi na Raciborzan! Niech go cygani smażą!

Jak na komendę zaczęły się teraz wyrzekania i przeklinania na księcia Mikołaja, oraz pogroźki, w jaki sposób mu się najwięcej dadzą we znaki.

— Nie myślcie — zauważył czarny Jerzy, gdy się nieco ucieszyli — że sami będziemy; oto Bolesław, książę opolski, pójdzie z nami ręką w rękę, a i z innych naszych rycerzy mało brakować będzie. Co innego z polską szlachtą, która między nami mieszka. Ci się boją dyabła i księży, nazywają Husytów kacerzami, przytem mówią coś o obronie Kościoła, Ojczyzny i o innych podobnych błazeństwach.

— Błazny z ich ojczyzną — odrzekł drwiąco Jastrząb — co mi po ojczyźnie, cóż ona mi

daje? Ojczyznę moją jest kraj, w którym mi się najlepiej wiedzie i gdzie się ile razy chcę bić mogę! Gdyby n. p. w naszej okolicy skończyły się walki rycerskie, natenczas zapalę zamek i pójdę tam, gdzie się bić wolno.

— Bracia — mówił czarny Jerzy dalej — będzie to uciecha z siłą potężną na miasta najeżdzać, a tych mieszczańskich bohaterów należycie bić w skórę, ile się zmieści. Na domiar wszystkiego pożywi się człowiek na długi czas bogactwami miejskimi.

Puhary napełnione węgrzynem, od nowa zaczęły krążyć, przyczem prowadzono tak nieprzyzwrotną rozmowę, iż na samo wspomnienie rumieniec pokrywa lica, przeto niepodobna jej tu powtórzyć.

Podczas gdy na zamku Jastrzębia przez noc całą panowała rozpusta, w chlewiku natomiast przy psach płakał psiarczyk i tęsknił za opuszczoną żoną. Jedyną pociechą jego była modlitwa, a Anioł Stróż zbierał łzy jego i odnosił do tronu niebieskiego, skąd Bóg miłosierny zesłał sen na zapłakane oczy nędzarza, tak, że chociaż głodny, spokojnie zasnął przy psach w chlewiku, jak rycerstwo opite i nasycone na zamku.

III.

Ksiądz kapelan Walenty,
męczennik w obronie wiary.

Ścieżką od Rybnika ku Bijasowicom jechał konno czcigodny kapłan Walenty, a przy nim w pokorze szedł stary Mikołaj, modląc się serdecznie do Zbawiciela, którego kapłan niósł do chorej Jadwigi, ukochanej jego synowej. Już byli w lesie blisko Bijasowic, gdy nagle Mikołaj stanął i milczkiem ręką na tłum ludzi pokazał, którzy ledwie tysiąc kroków przed nimi obozował. Kapłan zatrzymał konia i rzutem oka poznał, że miał przed sobą Husytów, widział bowiem na wysokiej pice wyniesiony kielich. Przerwał milczenie, które jako kapłan w przytomności Najświętszego Sakramentu zachowywał i rzekł do przełknionego Mikołaja:

— Są to Husyci, Boże, miej nas w Swojej opiece!

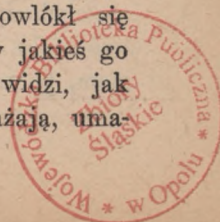
Ledwie słów tych domówił, gdy między Husytami wszczął się gwar i wrzask, a między tym dochodziły wykrzyki, jak: chwytajcie popa! na pohybel z klechą! rozćwiartować go, aby więcej ludu nie bałamucił.

— Ratujcie się, Mikołaju! — zawołał kapłan Walenty i zachęcił konia do biegu. — Dziel-

ne zwierzę, jakby rozumiało jeźdźca swego i wiedziało o niebezpieczeństwie, obróciło się w bok i pędziło do lasu. Rozwiozli Husyci w ten trop puścili się za nim, klnąc, na czym świat stoi. Kapłan Walenty przy całym niebezpieczeństwie nie stracił przytomności umysłu, nieszło mu bowiem tyle o własne życie, jak o Najświętszy Sakrament, który nie wiedział gdzie schować przed prześladowcami, o których mówiono, że najświętszym rzeczom najniegodziwsze wyrządzają obelgi. Już chciał torebkę z Najświętszą Hostyą uwiesić koniowi na siodło i konia wolno puścić, gdy wtem nadjechał pod wielki dąb, w którym spostrzegł dziurę. Nietracąc czasu, włożył torebkę z Najświętszą Hostyą do dziury w dębie i uciekał dalej, nie dla tego, żeby siebie ratować, lecz żeby prześladowców od świętości odwieść. Ledwie oddalił się na tysiąc kroków od dębu, gdy wtem go strzały Husytów ugodziły. Koń także raniony, uskoczył nagle w bok, a kapłan Walenty spadł na ziemię. Podniósł się jeszcze na kolana, krew strumieniem lała się mu z piersi, którą strzała z tyłu była przeszyla, oczy mając zwrócone w stronę dębu, gdzie jego Zbawiciel spoczywał. Niesłyszając bluźnierstw, które halastra nań miotła, z radością dziękował Bogu, że mu pozwolił ukryć świętości i z modlitwą na ustach oddał duszę Stwórcy swemu pod niezliczonemi ranami, które mu Husyci mieczami i dzidami zadali.

Mikołaj tymczasem modląc się ukryty w gęstwinie, nie widział męczeństwa kapłana Walentego, lecz spostrzegł gołąbka białego, unoszącego się coraz wyżej pod obłoki, aż wkońcu całkiem mu z ócz zniknął. Była to dusza zamordowanego kapłana!

Horda husycka całą noc bawiła w Bijasowicach i okolicy, czekając oddziału za niemi postępującego. Mikołaj był jeszcze w ukryciu, gdy naraz głosy przeraźliwe nieszczęśliwych mieszkańców Bijasowic o las się odbiły. Łuna ogromna oświeciła całą okolicę, Husyci zapalili wioskę, a mieszkańców rzucali do ognia. Mikołaj z wolna podkradał się ku swemu mieszkaniu, kiedy jednak przyszedł na kraj lasu, zobaczył swą całą chatkę w płomieniach. „Jezus, Marya! — Jadwiga! dziecko!“ zawołał, i jak podcięty upadł na ziemię. Ojciec niebieski tymczasem słyszał jego rozpaczliwe wołanie i posłał Anioła, który mu wszelką świadomość duszy odebrał, tak, że jak we śnie bez zmysłów na ziemi leżał i nie uczuł bólesci z tego, że chatka jego nad kochanemi osobami się zawaliła i w morzu iskier i płomieni zginęła. Jak długo tak leżał, sam o tem nie wiedział, a gdy się obudził, widział chałupkę już dogorywającą. Prawie bez przytomności dowlóknął się z powrotem do lasu, aż to naraz głosy jakieś go zatrzymały. Spojrzy przed siebie i widzi, jak Husyci kapłana Walentego z szat obnażają, uma-



wiając się przytem, iż jutro go przed miasto zawiozą i na murach powieszą. — Miły Boże! — westchnął Mikołaj — biedny kapłan, nie tylko musiał tu skończyć między tymi okrutnikami, ale jeszcze po śmierci ma wżgardę cierpieć, a ciało poświęcone ma służyć niewiernym na pośmiewisko! Boże, który go wziąłeś do Siebie, niedozwalaj, żeby się niewierni pastwili nad naczyniem pomazańca.

Po obnażeniu ciała oddalają się Husyci ze zdobyczą swoją, a Mikołaj, westchnąwszy do nieba, przykrada się aż ku ciału, bierze je na ramię, aby je odnieść, lecz siły jego są za słabe. Własnym przeto płaszczem je przykrywa, gorzkimi łzami skrapiając porąbane i skrwawione ciało. Po niejakiem czasie powracają Husyci, szukając ciała kapłana, ale Bóg oczy ich zaćmił, tak, że ani zmarłego, ani też Mikołaja ujrzeć nie mogli; nie chcąc zaś zbyt długo się wstrzymywać, odeszli.

Nie czuł Mikołaj zimna nocnego, chociaż był bez ciepłej odzieży; o ile zdołał, biegł lasem do Jankowic, gdzie wszystkie chałupy od ludzi stał opuszczonemi. Z pierwszej chaty wziął łopatę, powrócił do zabitego i na miejscu męczeństwa grób kopać zaczął. Potem ciało kapłana uczciwie spuścił i przykrył płaszczem; odmawiając zaś ciche modlitwy, zakończył pogrzeb nad ranem, poczem się oddalił.

IV.

Boże Ciało podczas oblężenia Żorów przez Husytów.

Smutne to święto Bożego Ciała obchodziły Żory 1433 roku, ponieważ podczas największej trwogi, o jakiej przedtem nigdy słyhać nie było. Nie brakowało wprawdzie czterech ołtarzy, ksiądz dziekan te same jak inne lata odprawiał modlitwy i to samo udzielał błogosławieństwo na wszystkie cztery części świata, lecz przypatrzmy się uroczystemu pochodowi bliżej: Przed kapłanem idą tylko dzieci, za kapłanem postępują same niewiasty, a z obu stron baldachimowi widać słabych staruszków, w drżących rękach z ledwością trzymających świece. Czemuż to wszystek lud płacze, czemuż niewiasty głośno łkają, czemuż jęczą starcy? Czemuż wszyscy ręce podnoszą ku niebu i z wyrazem największej boleści wzywają zmiłowania? Gdzież rada miasta, gdzież burmistrz z radnymi, gdzie cechy z chorągwiami?

Przypatrzwszy się dokładniej, ujrzysz na wałach miejskich całe mieszczaństwo pod bronią. Klękają oni na głos dzwonka, gdy kapłan podnosi monstrancję z utajonym Zbawicielem, ale ledwie czas mają do westchnienia i do krótkiej modlitwy, bo około miasta leżą Husyci, wrogowie o-

kropni, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

Na wieży kościelnej zamieszkał sędziwy burmistrz, Jan Frysztacki, a przy jego boku stoją zawsze dwaj młodzi członkowie rady miejskiej, aby go dokładnie objaśniać o położeniu i ruchach obozu nieprzyjacielskiego, gdyż oczy jego mgłą wieku zaćmione, nie zdołają dokładnie rozpoznać szyków wroga przed miastem. Na schodach zaś siedzi kilku majstrów najmłodszych i ci rozkazy burmistrza roznoszą do cechów, którym pewne części murów miejskich są powierzone.

Właśnie jest czas nieszpory. Burmistrz wraz z obu radnymi klęczą podczas nabożeństwa przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który w ramach kosztownych na ścianie wisi, i wtórują cichym głosem pieniom nabożnej pieśni przed Najświętszym Sakramentem, dochodzącej ich uszu z kościoła. Łzy ronione świadczą, że słowa z głębi serca się dobywają i że nabożni z całej modlą się duszy. Nieszpory się skończyły; burmistrz polecił straż na wieży towarzyszom swoim i oddalił się, zwracając kroki swe do plebanii. Z kościoła wychodził właśnie pobożny luddek i z poszanowaniem uchylał głowy przed poważną postacią burmistrza, w którego cnocie i męstwie wszelkie pokładano zaufanie. Pan Frysztacki dziękował na wszystkie strony, wypogadzając o ile

zdołał posepne czoło, aby wesolą miną przechodzącym dodawać otuchy. Kilku poważnym staruszkom ręką dał znak, aby szli za nim, i tak w towarzystwie najstarszych ojców miasta przybył do księdza dziekana, u którego znajdowało się kilku księży, którzy przed Husytami ze wsi do miasta się schronili.

— Jak stoją sprawy z miastem naszym, mości burmistrzu? — zapytał Ksiądz dziekan, i starał się w twarzy Frysztackiego odgadnąć odpowiedź, ten jednak się odezwał:

— Mości Księżu dziekanie! Całą moją nadzieję jedynie w Bogu pokładam: Jeżeli jeszcze jeden szturm przypuszczą taki, jak w ostatni wtorek, wtedy broń ziemską nas nieocali. Pochowaliśmy wczoraj trzydziestu najwaleczniejszych obrońców, więcej jak ośmdziesiąt leży ciężko rannych, a tu pomocy znikąd nie widać! Jeżeli Bóg i Matka Boska Częstochowska nam nie pomogą, poginiemy, a miasto nasze wpadnie w ręce nieprzyjaciela! Wierzaj mi księżu!

Wypowiedziawszy to, spuścił burmistrz głowę, a za nim i reszta przytomnych; Ksiądz dziekan natomiast wzniosłszy oczy ku krzyżu, wiszącemu w środku ściany, dłuższy czas milczał. Nagle poruszony jakimś natchnieniem, odezwał się do przytomnych:

— Mości Panowie! Kogo Bóg ma w Swej obronie, ten w złej doli nie utonie! I waszmość,

panie burmistrzu, który tak wielką ufność pokładasz w Matce Boskiej Częstochowskiej, której widocznej pomocy byłeś świadkiem na Belzkim zamku, niepowinieneś wiary tracić. Czyż was tam większa liczba była przeciw hordom tatarskim, jak tu w mieście do walki przeciw otaczającym nas nieprzyjacielom?

— Księżę, dobrodzieju — odpowiedział burmistrz — wiara moja jest mocna, ale wielka część mieszczan nie posiada jej w tej samej mierze co ja i sądzi o położeniu naszym według własnego mniemania, oceniając siły własne za zbyt słabe na zwyciężenie nieprzyjaciela. Starają się oni tylko o własne ocalenie i zamierzają miasto cichaczem opuścić, szukając ratunku swego na chybi traf. Gdyby połowa mieszczaństwa tej samej co my była wiary, nie lękałbym się przy pomocy niebieskiej i dalszego oporu.

Zaledwie tych słów dokończył, nadszedł Wagner, młodszy majster cechu rzeźnickiego, oznajmiając panu burmistrzowi, że czeka nań przed bramą posel z obozu nieprzyjacielskiego. Pan Frysztacki rozkazał, aby posłowi oczy zawiązano i odstawiono go przed niego do plebanii. Ciekawi na różne wpadają domysły, pan Frysztacki tymczasem usadowiwszy się w wygodnem krześle, z powagą oczekiwał posła husyckiego. Niebawem wprowadzono go do izby, poczem burmistrz

kazał mu oczy odwiązać, pytając, jakie właściwie ma żądanie.

— Mam sprawić poselstwo przed samym burmistrzem i to tylko w cztery oczy! — odpowiedział Husyta.

— Panie — rzekł na to burmistrz — co ja mam usłyszeć, nie jest także tajemnicą dla zgromadzonych tu czcigodnych obywateli. Na cóż tajemnice?

— Tak mi rozkazano — odpowiedział Husyta — i tak też urząd mój sprawiam. Jestem Wacław, rycerz na Grojcu od Skoczowa i posłańcem od dowódcy wojska naszego. Nie jest on serca twardego; w swej wspaniałomyślności przebacza waszemu nierozumnemu oporowi, ofiarując w zamian łaskę swoją i obiecuje ocalenie, jeżeli przymierze z nim uczynicie, wojsko jego na odpoczynek do miasta przyjmiecie i przez kilka dni w potrzebną żywność zaopatrzycie. Tak brzmi dosłowny rozkaz mojego hetmana. Co do mnie, radzę wam, abyście łaskę podaną przyjęli, ocalając tem miasto i mieszkańców przed pewną zgubą. Rozważcie sami, długoż się nam garstka waszych ludzi opierać zdoła? A nie sądźcie, że to cała nasza potęga przed miastem stoi! Większy oddział zajął powiat raciborski; Bolesław, książę na Opolu, złączył się wczoraj z wojskiem naszym przy Gliwicach. Nie myślcie też, że nam na ży-

wności w obozie nie zbywa! Sprzymierzeńcy nasi, Jerzy, rycerz na Pszczynie, Runsztajn, rycerz na Jastrzębiu, Zygfryd, rycerz na Bełku i wielu innych panów znacznych z rycerstwa śląskiego dostarczają nam, czego tylko potrzebujemy. Bądźcie też przekonani, że lud czeski nie prowadzi wojny przeciw ludowi śląskiemu, lecz tylko przeciw księciu Mikołajowi, jako waszemu gnębicielowi. Obierzcie przeto, co się wam zda, albo przymierze i ocalenie, lub zgubę waszą i zagładę, bo któreż miasto, któryż gród się nam sprzeciwić zdołał? Z mej strony daję wam słowo rycerskie, że wojsko nasze w zawziętości swojej ani starców, ani kobiet, ani niemowląt oszczędzać nie będzie. Nie żądam od was nagłej odpowiedzi, naczelnik nasz daje wam dwadzieścia cztery godzin czasu do rozwagi i żąda przez ten czas zawieszenia broni. Moją osobę macie uważać za rękojmię, że z naszej strony do oznaczonego czasu wszystkie kroki nieprzyjacielskie ustaną.

— Przyjmuje zawieszenie broni na dwadzieścia cztery godzin — odrzekł spokojnym, lecz stanowczym głosem burmistrz, wysłuchawszy mowy rycerza — i naznaczy panu gościnną kwaterę do czasu, aż się z radnymi miasta naradzę i dam odpowiedź.

Stosownie do rozporządzeń burmistrza osadzono posła w wygodnej izbie, na zewnątrz ustanawiając jaknajbaczniejszą straż.

— Cóż wy na to, panowie? — zapytał burmistrz obecnych po odejściu rycerza.

— Była to prawdziwie mowa niewiernego Goliata, który własnej ufa sile — rzekł na to Ksiądz dziekan — ale myśmy żołnierzami Boga żywego, który nas wybawić może, jak wybawił Dawida z rąk nieprzyjaciela!

— Prawdę mówisz, Księżu dobrodzieju — odezwał się organista Steblicki, mąż w Żorach wielce poważany, który był oraz pisarzem miasta i którego burmistrz z polecenia Księdza dziekana przed dwudziestu laty z Częstochowy był sprowadził.

— I jakże zamyślasz odpowiedzieć, mości panie? — zapytał jeden z radnych burmistrza.

— Czcigodni panowie! idzie tu o ratunek całego miasta; moją odpowiedź mógłbym dać zaraz posłańcowi. Stosowna jednak, żebym rzecz całemu miastu przedłożył. Rozłączmy się przeto dzisiaj, prosimy Boga o oświecenie, a na jutro zwołam całą radę i wszystkich panów cechmistrzów, aby im dać sposobność wypowiedzenia zdań własnych. Pożegnawszy się następnie, rozeszli się starcy, burmistrz tymczasem obszedł jeszcze mury miasta dokoła, odwiedzając załogę, a starszych miasta zarazem na rano do siebie powołując.

W izbie burmistrza długo jeszcze po północy widać było światło. Różne myśli i troska o miasto spać mu nie pozwoliły. Jan Frysztacki był to człowiek doświadczony i szlachetnego umysłu. W młodości swojej był żołnierzem pod dowództwem Władysława, księcia opolskiego, i wojował z nim na Rusi, gdzie Władysław w 1382 roku zdobywszy zamek Bełski, znalazł w nim obraz Matki Boskiej na cyprysowym stoliku wymalowany. Frysztacki, jako stary naoczny świadek przeprowadzenia cudownego obrazu Najświętszej Maryi Panny do Częstochowy, był jaknajgorliwszym czcicielem Boga-Rodzicy. Każdorocznie pielgrzymował do Częstochowy, a gorące modlitwy odprawiał codziennie przed własnym obrazem, który na podobieństwo częstochowskiego kazał odmalować i przed którym zawsze palił światło. Swoją obraz nawet z sobą wziął na wieżę, gdyż tam podczas oblężenia Żorów obrał sobie mieszkanie.

O sławnym tym obrazie Maryi Panny w Częstochowie opowiadają polscy dziejopisarze, a osobliwie Stanisław Kobierski, wojewoda pomorski, w historii oblężenia Częstochowy przez Szwedów, co następuje:

Obraz ten był w Jerozolimie znaleziony przez św. Helenę około roku 320 po Chrystusie wraz z drzewem krzyża Chrystusowego. Krzyż święty

umieściła ona na górze Kalwaryi, a obraz Boga-Rodzicy przeniosła do Carogrodu (Konstantynopola). Według innych podań śmierć przeszkodziła jej w tym zamiarze. Cesarzowa Eudoksya, siostra cesarza Teodozyusza, sprowadziwszy obraz do Antyochii, we wspaniałym, przez siebie wystawionym kościele go ustawiła.

Obraz Najświętszej Maryi Panny jest z grubego cyprysowego drzewa, ma wysokości dwa łokcie i półtorej dłoni, szerokości jeden łokieć i trzy dłonie, grubość jego równa grubości blisko dwóch członków średniego palca. Malowany jest grubym pędzlem Łukasza świętego. Ten święty pomnik dochowali pierwsi chrześcijanie w Jeruzalem, w domu Zebedeuszowym świętego Jana, w którym po śmierci Syna Najświętsza Matka do zaśnięcia Swego mieszkała, a który to dom Bóg sam najświętszymi tajemnicami udarował; w nim bowiem Zbawiciel nasz z uczniami Swymi ostatnią wieczerzę odprawił, i w nim na zgromadzonych Apostołów w dzień świąteczny Duch św. zstąpił w postaci ognistych języków.

Roku 72-go po narodzeniu Chrystusa, za Wespazyana, cesarza wschodniego, w czasie dopełnionego przez Tytusa zburzenia Jerozolimy, a następnie w czasie prześladowania i niszczenia obrazów i świętości przez obrazoburców, za czasów Leona Izauryka i Kopronima cesarzów, obraz

ten przez Irenę cesarzową, Izauryka żonę, później przez Auturę, Kopronima córkę, w samym pałacu cesarzów starannie był przechowany.

Był on zawsze w wielkiem poszanowaniu u Greków, osobliwie gdy coraz większa cudów otaczała go sława, przez którą Bóg okazywał, jak miłe Mu jest nabożeństwo ku Maryi. Cesarz Nicefor darował ten obraz cesarzowi Karolowi Wielkiemu, który go w Akwizgranie złożył. Tenże Karol darował obraz Leonowi księżciu ruskiemu w nagrodę pomocy w wojnie przeciw Saracenom, Leon zaś złożył go w zamku Bełskim na Rusi-czerwonej, w którym tenże zostawał zachowany lat 579, aż do przybycia tam Władysława księcia opolskiego. Ten książę, zbobywszy zamek Bełski, został w nim od Tatarów obleżony. Garstka ludzi przy księciu znajdująca się, dawała odpór nieprzyjacielowi, lecz w czasie tym strzała z łuku tatarskiego oknem do kaplicy wpadłszy, utkwiała w szyi obrazu świętego, od której strzały blizna trwa do dziś dnia, żadnemi farbami zamałować się nie dająca. Okropna ciemność rozpostarła wówczas zasłonę swoją, i tak dalece zaślepiła Tatarów, iż sami na siebie oręż swój obracali i żelaza w piersiach swych braci topili.

Widząc Władysław cudowne i oczywiste nieba posiłki, wychodzi z małym orszakiem sług swoich i nieprzyjaciela poraża. Zmuszony dla u-

aiknienia dziczy tatarskiej, ustąpił z Bełza, obraz, którego dzielności doświadczył, z sobą zabrać i w Opolu, księstwie dziedzicznym, umieścić zamysła. Przybywszy dnia 9 sierpnia 1382 roku do Częstochowy, dla zbliżającej się już pory nocej, obraz w kościele parafialnym (drewnianym naówczas) pod tytułem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, gdzie obecnie wielki kościół istnieje, złożył, w zamiarze przenocowania tamże, a nazajutrz udania się w dalszą podróż. Dnia następnego, gdy już obraz na przysposobiony ku temu wóz przynieść polecił, żadnym sposobem i siłą z miejsca ruszyć się nie mógł. Zdumiały tem zdarzeniem książę, niesie modły swoje przed obraz święty, prosząc Boga o objawienie woli Swojej; wtem odebrał natchnienie, żeby obraz zostawił na Jasnej-Górze.

Posłuszny natchnieniom książę, bez wszelkiego wzbraniania się obraz święty jako najdroższy klejnot w kościele z uszanowaniem zostawił. Gdy Władysław Jagiełło tron polski objął, nadał klasztorowi Jasnogórskiemu nowy przywilej. W tymże samym czasie Jadwiga królowa, małżonka jego, przejęta czcią i prawdziwą pobożnością ku świętemu obrazowi Maryi, pierwsza z monarchiń polskich ręką swą perłami wyszyty ornat (który dotąd przechowuje się), świątyni częstochowskiej w ofierze złożyła.

Husyci, jako odszczepieńcy od Kościoła ka-

tolickiego, najeżdżając w roku 1430 Morawę i Śląsk, a słysząc o cudownym obrazie na Jasnej-Górze, bez wszelkiej obrony wówczas jeszcze będącej, uderzyli na zakonników, z tych pięciu zamordowawszy, resztę rozproszyli i ozdoby obrazu świętego zabrali wraz z oryginalnym opisem o malowaniu tegoż przez świętego Łukasza, zachowaniu w Jeruzalem i t. p.

Świętokradzka ręka tych najeźdźników odważyła się targnąć na sam nawet obraz święty, który z ołtarza zuchwale wydobywszy, uwieść zamýślali; lecz wóz, na którym obraz święty znajdował się, w miejscu, gdzie dziś kościół świętej Barbary widzimy, niewzruszony stanął. Wtenczas jeden z świętokradzców owych obrazowi świętemu złorzeczyć począł, a z zapalczywością wszedłszy na wóz, pochwycił obraz i tak silnie nim uderzył o ziemię, że ten na trzy części się rozbił. Twarz Najświętszej Bogarodzicy jednak i Boskiego Jej Syna w całości zostały, co widząc drugi, przyskoczywszy, ciał szabłą w prawą stronę oblicza; trzeci zaś, gdy jeszcze zamierzał tenże obraz uderzyć pałaszem, wzniesionej ręki spuścić nie mogąc, upadł zdrtwiał i zaraz nieszczęśliwą wyzionął duszę. Taką to oczywistą karą nieba przestraszeni rabusie, opuścili rozłupany i błotem owalany obraz święty i spiesźnie na Śląsk uciekli. Widząc to w małej liczbie ukryci zakonnicy, zgromadzili się na miejscu, gdzie obraz rozbity zosta-

wał, a gdzie nigdy wody nie było, i o cudo, wtem wytrysło źródło żywej wody, którą obmywszy obraz święty, wśród pobożnych śpiewów na Jasną-Górę wprowadzili. Na miejscu tem postawiono krzyż drewniany na pamiątkę. Sprawców świętokradzców złapano, których głowy pod miecz sprawiedliwości oddano.

Przed oblężeniem Jasnej-Góry przez Szwedów, prowincyał zakonu Paulinów, wyjechawszy dnia 8 listopada 1644 roku na Ślązk, zabrał obraz święty z sobą dla większego bezpieczeństwa i złożył go w klasztorze tegoż zakonu przy Małym Głogowie. Po ustąpieniu Szwedów roku 1656, w sam dzień zmartwychwstania Pańskiego, Teofil Bronowski, prowincyał, obraz święty z Głogowa na Jasną-Górę sprowadził i w właściwym ołtarzu umieścił, gdzie aż dotąd zostaje.

Frysztackiego uwielbiali tedy Żorzanie nie tylko dla pobożności, lecz też i dla męstwa jego, które w częstych utarczkach z rycerskimi rabusiami okazywał. Nie łatwe stanowiska miały wówczas miasta. Książęta kraju byli nawzajem bezwładni i wojnami domowymi, które się po podziale Ślązka zjawily, nader zatrudnieni. Mały oni wpływ wywierali na poddane kraje, bo panujący nie miał tej potęgi, aby poddanych do szanowania rozkazów swoich przymusić. Kto przeto chciał, był posłusznym, a wreszcie każdy mocniejszy żył,

jak mu się podobało. Moźni panowie, rycerzami zwani, w mocno obwarowanych zamkach drwili z rozkazów książęcia i czynili, co im się podobało. Zamki w Grójcu, w Dobiczu, w Jastrzębiu, w Bełku i Pszczynie, były gniazdami łotrostwa, a rycerze tych zamków rabowali, kogo dopadli, najchętniej zaś przejeżdżających kupców. Daremne były skargi u książąt, którzy nie zdołali uskromić rabującej szlachty, i stąd miasta musiały sobie same pomagać, ile zdołały. Obwarowały się przeto murami, obwiodły mury wodą i wałami, a mieszczanie ćwiczyli się w broni wojennej; podzieliwszy się potem na cechy, zgromadzali się w czasie potrzeby około chorągwi cechowych. Ruszali oni wspólnie na obronę spraw swoich, jeden cech pragnął prześcignąć drugi odwagą, a każdy chętnie krew i życie ofiarował, jeżeli szło o obronę miasta. Nieznano wtedy jeszcze ani prochu, ani armat, ani strzelby palnej, uzbrajano się więc w miecz, strzelbę łukową, w kijań szpilczatą, lub w długą pikę, na której zwyczajnie przyprawiona była szeroka siekiera. Ponieważ zaś pika taka zwała się halabardą, przeto też i żołnierzy nią uzbrojonych, nazwano halabardnikami. Oprócz tej broni okrywano głowę przyłbicą miedzianą, pierś pancerzem żelaznym lub skórzanym, nogi i ramiona szynami ocelowymi a nawet ręce żelaznymi rękawicami. Każdy nosił nadto na lewem ramieniu wielką tarcz kruszcową, lub skórzaną.

Trakt handlowy prowadził od Węgier i Krakowa do Wrocławia wonczas przez Żory i Racibórz, a miasta odprowadzały kupców przez swoją straż, którą cechy kolejno odbywały. Od obcych kupców odbierały te miasta cło, a za to przyjmowały na siebie obowiązek bronienia kupieckich towarów przed napadami rabierzy. Z tej też przyczyny np. Żory aż do zeszłego stulecia odbierały cło drogowe w Warszowicach i przy Palowicach, ponieważ tak daleko towary kupieckie żołnierzami swemi odprowadzały.

Poznać stąd łatwo, że miasta z rycerzami rabującymi w ciągłych utarczkach żyły, i że burmistrz miał ciężki obowiązek, ponieważ nietylko o porządek wewnętrzny, ale i o bezpieczeństwo zewnętrzne starać się musiał. Z tych wywodów każdy się pewnie przekona, czemu Frysztackiego dla męstwa i waleczności tak wysoko ceniono.

V.

Żorzenie gotują się na śmierć.

Tak nadszedł piątek po święcie Bożego Ciała. Oprócz pewnej liczby mieszczan, których burmistrz dla wszelkiego bezpieczeństwa zostawił na straży wałowej, każdy kto mógł spieszył do kościoła, aby Boga błagać o ratunek przed groźbą niebezpieczeństwem.

Zaczął się nabożeństwo, jak zwyczajnie w oktawie, z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu, dziś jednak zapał do modlitwy był nadzwyczajny. Największa gorliwość zajmowała serca wewnątrz, a dała się poznać i w zewnętrznej postawie zgromadzonych. Większa część ludu leżała krzyżem na ziemi, a łzy gorzkie wylewając, aby Boga przebłagać. Po Ewangelii świętej wystąpił Ksiądz dziekan, staruszek siwy jak gołębek, na ambonę i zaczął się modlić według słowy, z księgi Estery: „Boże wszechmogący, Panie i Królu! jakoś Izraela wyratował a żaden Ci się sprzeciwić nie mógł. O Boże Abrahama! Zmiłuj się nad nami! Wysłuchaj modlitwy naszej, przemień smutek nasz w radość, żebyśmy przy życiu zostali i imię Twoje wielbili!“

Po tej modlitwie powstał płacz ogólny, sam

kapłan zaś wzruszony, długo czekać musiał, aż się słuchacze nieco uspokoją. Następnie przedstawił kaznodzieja obecnym niebezpieczeństwo Żydów za czasów Estery i jak Bóg wysłuchał modlitwy pokutujących Izraelitów. Wreszcie zawołał: A czyż to nie panuje na niebie ten sam Bóg, który Izraelitów wybawił z ręki Amana? Czyż to i nas wysłuchać i nam pomocy udzielić nie może? Czyż On to sam nie powiedział: „Wołać będzie do Mnie, a Ja wysłucham go, z nim jestem w ucisku, wyrwę go i uwielbię go!“ A czyż i sam Jezus Chrystus, który się znajduje w Najświętszym Sakramencie, nie pociesza nas, mówiąc: „O cokolwiek Ojca Mojego niebieskiego w Imię Moje prosić będziecie, da wam.“ Wołajmyż przeto do Ojca i błagajmy o miłosierdzie Jego: Boże wszechmogący, Panie i Królu, zmiłuj się nad nami! Wysłuchaj modlitwy mojej, przemień nasz smutek w radość! Boże, zmiłuj się!

Najmilsi bracia i siostry w Chrystusie. Jeżeli jednak miłosierdzia Jego dostąpić pragniemy i życzymy sobie być wysłuchanymi, musimy też podobnie jak Izraelici szczerze pokutować; nie tylko ze strachu przed gniewem Jego, ale z miłości ku Temu, który nas tak umiłował, że się ofiarował za nas na krzyżu. Działki drogie! Chcecie Boga ubłagać, nie dosyć na wołaniu i płaczu, nawróćmy się z serca całego do Pana!

Po raz ostatni może стоимy tu w przybytku

Jego, pamiętajmy przeto na wieczność i użyjmy ostatnie może życia naszego godziny na zbawienie dusz, jako też na przebłaganie Ojca zagniewanego.

Uznajcież się niesprawiedliwymi, a oddajcie dobra nieprawnie zagarnione! Nieprzyjaciele! porzućcież gniew swój, a odpuśćcie urazy wzajemne, aby i wam Ojciec niebieski odpuścił! Działki, służący, błagajcież rodziców i przełożonych o odpuszczenie! I ja, owieczki moje, błagam was o przebaczenie...“

Dalszą mowę przerwał ogólny płacz, a głośne jęki odbijały się o sklepienie kościoła. Słowa sędziwego kapłana poruszyły i najtwardsze serca, a żal i skrucha czujących się winnymi wydała jak najobfitsze owoce. Krzywdziciele na sławie i majątku czołgali się na kolanach po kościele, jawnie wyznawali nieprawości swoje, i obiecując nagrodę, głosem przejmującym błagali o przebaczenie. Najzawziętsi nieprzyjaciele szukali się po kościele, aby się pojednać, działki rzucały się do nóg rodziców i żebrały o przebaczenie. Któż godnie opisać może obraz nawracających się grzeszników? Kaznodzieja ręce wzniosł ku niebu i ze łzami wymawiał rozgrzeszenie nad wzajemnie i głośno się spowiadającymi. Przypomniały mu się pierwsze czasy chrześcijaństwa, gdzie przed każdą ofiarą spowiedź powszechna podobnie głośno się odbywała.

Gdy wzruszenie nieco ustało, mówił kapłan dalej głosem podniesionym:

— Działki, pojednałyście się z bliźnimi, ze światem, odpuściliście nawzajem jeden drugiemu, upadnijcież teraz wraz ze mną przed Stwórcą naszym utajonym w Najświętszym Sakramencie i wołajcież w żalu i skrusze: „Ojcze! zgrzeszyliśmy przed Tobą, niegodniśmy nazywać się działkami Twojemi, ale z miłosierdzia Twego nieograniczonego przyjmij nas niegodnych w poczet sług Twoich; Jezu! któryś nie tylko Piotrowi i Magdalenie, ale nawet łotrowi na krzyżu odpuścił, zmiłuj się nad nami, i odpuść nam winy nasze, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!“

— Dusze nabożne! — ciągnął dalej po krótkiej przerwie — pojednawszy się z Bogiem, możemy też pełni nadziei wołać do Niego o ratunek! Ufajmyż niezachwianie w pomoc Jego, a On nas nie opuści, bo On jest tarczą mocną i obroną potężną dla uciekających się do Niego. Bóg, wszechmogący, który Dawida wybawił z ręki Goliata, który Daniela ocalił w lwiej jamie, który Izraelitów wyrwał z ręki Faraona, czyż On i nam pomódz nie może, jeżeli powinność naszą wypełnimy. Jesteśmy na Chrście świętym namaszczeni na żołnierzy Chrystusowych, powstańmy jednomyślnie, garnijmy się pod chorągiew Jego krzy-

zową, a w cieniu ran Jego uderzmy na nieprzyjaciela. Pewni też możemy być zwycięstwa, bo jeżeli Bóg jest z nami, któż się nam sprzeciwić może? Uważajcie, że życie swoje ofiarujecie za wiarę naszą świętą, że kto krew przeleje dla Jezusa, odbierze koronę męczeńską i stanie w niebie w gronie męczenników świętych, którzy się radują, że liczbę ich pomnożyć pragniemy. Wódz wasz ofiarował obraz swój drogi Najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej na chorągiew dla żołnierzy chrześcijańskich, jak was śmiało nazywać mogę! Najświętsza Panna, która narodowi naszemu już tyle razy zwycięstwo nad niewiernymi uprosiła, Ona nas i teraz zasłoni płaszczem Swoim.“

Tu w zachwyceniu wzniosłszy oczy ku niebu, wołał głosem wielkim: „Słyszę głos Męczenników świętych narodu naszego, słyszę niewinne głosy niemowlątek waszych, które Husyci mordować pragną, słyszę jęczenie żon i córek waszych, które chuci niewiernych paść mają ofiarą, słyszę głosy z grobów przodków waszych: „Brońcie się, brońcie grobów naszych, brońcie Kościoła, brońcie miasta, któreśmy wam powierzyli!“

Temi słowy owładnął Ksiądz dziekan do reszty serca słuchaczów i jak dawniej do żalu i skruchy, tak teraz ich do heroicznego męstwa pobudził. Serca drżały, oczy świeciły ogniem

nadziemskiej jasności, ręce ścisnęły miecze przy boku, a powszechne pragnienie zmierzenia się z wrogiem opanowało całe zgromadzenie, gdy kaznodzieja po kilku słowach błogosławieństwa zstępował z ambony do stóp ołtarza. aby dokończyć świętej ofiary.

VI.

Narada mieszczan żorskich.

Po zakończeniu nabożeństwa udało się mieszczanństwo na ratusz, gdzie burmistrz Frysztacki żądanie posła husyckiego oznajmił i krótkimi słowy zapytał, co miasto obiera, czy poddać się, czy walczyć do ostateczności.

— Walczyć! walczyć! — zagrzmiało gromada.

— Walczyć, walczyć! — powtarzały głosy niewiast i dzieci przed ratuszem.

— Obraliśmy widocznie najlepszą część — zawołał burmistrz — bo zważcie, mości panowie, że nie mamy do czynienia ze zwyczajnym nieprzyjacielem, który obietnicę daną i ugodę zawartą szanuje, i według niej sobie postępuje. Husyci zwiedli obłudnymi obietnicami już niejedno miasto, które potem wbrew przyrzeczeniom okropnie złupili. Przeto bracia moi, śmiało bowiem tak was mogę nazywać, gdyśmy się teraz jednomyślnie najświętszej sprawie, to jest obronie wiary i miasta rodzinnego poświęcili, niechcę was zwodzić obietnicą łatwego zwycięstwa. Nieprzyjaciół jest liczny, nas jest mała garstka. Jeżeli się zaś pomocy Boskiej i Najświętszej Panny godni stać chcemy, każdy z nas musi iść do boju z świętem

przedsięwzięciem, zwyciężyć lub ostatnią kroplę krwi ofiarować i zginąć pod gruzami ukochanego miasta. Rozważcie więc dobrze, czy na tak wielką ofiarę się zmożecie!

— Zwycięstwo, albo śmierć! — zagrzmiała cała gromada. — Zwycięstwo, albo śmierć! — wtórowało spóółstwo przed ratuszem.

— Panowie bracia — mówił dalej burmistrz — czas do przygotowania jest nam krótko wymierzony, gdyż wieczorem wróci posłaniec Husytów do obozu. Korzystajmyż z każdej chwili i gotujmy się do godnego przyjęcia wroga, jutro pewno na nas uderzyć mającego. Wiecie, że najslabszą część miasta tworzą mury ku zachodowi, i że stąd najzaciętsza grozi walka. Wzywam was ochotników: którzy z was dobrowolną obronę najniebezpieczniejszej części murów chcą przyjąć na siebie?

Wezwanie to nie było potrzebnem, bo wszyscy się zgłosili, niektórzy nawet burmistrza o zaszczyt ten prosząc, który do łez wzruszony, kazał Steblickiemu, pisarzowi miasta, łosy popisać, i przez cechmistrzów ciągnąć. Cech rzeźnicki i cech szewców dostał zachodnią, cech kowali południową, cech garbarzy wschodnią część wraz z bramą krakowską, cechowi sukienników dostała się część północna miasta, wraz z bramą rybnicką. Cech zaś kupiecki i krawiecki mieli oznaczone

miejsce w rynku, aby według potrzeby tam się udać, gdzie pomocy najwięcej będzie potrzeba. Oprócz tego rozporządził burmistrz, żeby wszystkie kotły i wielkie garnce do pewnych domów zniesiono, w których się smoła i olej warzyć miały, a tym sposobem były na pogotowiu dla parzenia nieprzyjaciela, gdy już na mury sięgać będzie. Kazał nawet dwie stare miejskie kamienice rozebrać, a kamienie i cegły około muru ustawić, aby nimi w razie potrzeby na napastników ciskać.

Dziwny do opisania obraz przedstawiały Żory; ulice były napełnione walecznymi, którzy duchem najszlachetniejszym napełnieni do walki się gotowali i innych zachęcali. Kościół pełen był pokutujących, którzy księży w konfesyonałach otaczali, aby w świętej spowiedzi z Bogiem się pojednać i u Stołu Pańskiego posiłku nabrać do walki.

Wieczorem odprawił burmistrz posłańca husyckiego z odmowną odpowiedzią, obiecując zarazem wypłacić Husytom za dobrowolne odstąpienie miasta 6000 grzywien srebrnych groszy¹⁾, na co Husyta odpowiedział, że hetman żadną miarą na to się nie zgodzi. Wkrótce po odejściu posłańca wszczęła się w obozie wrzawa o

¹⁾ Grzywnę polską rachowano na 48 czeskich groszy, a po dzisiejszej cenie 11 talarów: 6000 srebrnych groszy wynosi więc 66,000 talarów, z czego poznać można ówczesne bogactwa Żorów.

gromna, a z murów miasta widać było przy ogniach obozowych krzątające się postacie husyckiego żołnierstwa, co świadczyło najlepiej, iż się nieprzyjaciel do szturm gotuje. Burmistrz zajął znowu dawne stanowisko na pierwszym piętrze wieży, aby się ruchom nieprzyjaciela stąd dogodniej przypatrywać i stosownie do potrzeby rozsyłać rozkazy.

VII.

Szczęśliwy posłaniec. — Dobra
nowina.

Czuwający nad bramą rybnicką mieszczenie
cechu sukienniczego, spostrzegli przy zmierzchu
wieczornym jakąś postać, skradającą się do mu-
rów. Już niektórzy łuki gotowali, aby strzałą
powitać mniemanego szpiega, gdy ten, będąc
blisko murów i bezpieczny przed prześladowaniem
z obozu, szybkim kłusem ku bramie pędził, wy-
wijając kapeluszem. Przed samą bramą się znaj-
dując zarządał, aby go wpuszczono, a Kolibaj,
cechmistrz i ostrożny dowódzca rot, kazał spuścić
powróż, na którym zadyszanego chłopą wciągnio-
no na mury.

— Kto jesteś? — zapytał cechmistrz, a chłop
kilka razy ciężko odetchnął, zanim mógł ciekawie
go otaczającym cośkolwiek powiedzieć.

— Jestem posłany od księcia raciborskiego,
aby oznajmić, że wam niesie pomoc.

Okrzyk radości wydobył się z piersi echo-
wych, lecz cechmistrz, jakoby nowinie radosnej
nie wierząc, zapytał, co ma za znak, że prawdę
mówi?

— Oto mam pismo do pana burmistrza,
zaszyte w trzewikach, zawieźcie mnie przed
niego.

Wieść o przybyciu posłańca w okamgnieniu rozniosła się po murach, a nowe okrzyki zwiastowały ją zatrwożonemu miastu.

Obleżeni płacząc, ściskali radośnie jeden drugiego, upadając potem na kolana, aby z wdzięcznością wznieść ręce i serca do Boga miłosiernego, który się zlitował nad miastem nieszczęśliwym i w najpotrzebniejszy czas zesłał mu ratunek. Chłopek, który z nowiną radosną się przekradł przez obóz nieprzyjacielski, był to stary Mikołaj z Bijasowic. Już trzydziesty raz opowiadał, jak księżę raciborski, wraz z innymi rycerzami szlachetnymi od Raciborza na odsiecz ciągną, że Księdzu proboszczowi rybnickiemu, który przed szukającymi go Husytami w skrytości żyje, list tajemnie posłał, aby go burmistrzowi Żorów jakimkolwiek sposobem wręczyć.

— Na oko dostałem — mówił dalej — beczkę miodku, aby ją sprzedać w obozie husyckim. Nie zebrałem też zań ani grosza, gdyż każdemu wiadomo, że Husyci nic nie kupują, lecz gwałtem wydzierają. Ledwie też beczki dopadli, pili z niej, ile im się podobało, nie zważając na moje narzekania i udawany frasunek. Gdy mnie jednak nieco z oka spuścili, umknąłem, czołgając się po ziemi między zaroślami, a Bóg pomógł, że się szczęśliwie do miasta dostałem.

Dalej dowiedzieli się mieszczenie od Mikołaja, że Husyci kapłana Walentego zabili i jak o-

kropnie w Rybniku, w Wodzisławiu i w całej okolicy z mieszkańcami się obchodzą. Nabrali więc otuchy, nie jednak tak łatwo mieli wyjść z wiszącego nad nimi nieszczęścia.

W obozie Husytów tymczasem także wielkie panowało poruszenie. W namiocie hetmana husyckiego cała starszyzna wojskowa była zgromadzona i żwawe wiodła rozmowy. Między innymi poznajemy Czarnego Jerzego z Pszczyny, Jastrzębia i kilku innych rycerzy szlachty śląskiej, którzy niegodziwie z nieprzyjaciołmi Ojczyzny się połączyli.

— Proszę o spokój! — zawołał hetman husycki, i ucichły wrzaski. — Sławni rycerze i bracia boju! Nadeszły ważne nowiny i dlatego kazałem was poprosić na naradę wojenną. Wiadomo wam, żeśmy za radą Bolesława, księcia opolskiego i za zachęceniem innych panów śląskich tu przybyli, aby poskromić Mikołaja raciborskiego, który przyrodzone prawa rycerstwa gnębi, miasta zaś przywilejami obsypuje i przeciw szlachcie podburza. Słuchało się dobrze tych rad i zachęceń, wyznać jednak muszę, żeśmy źle się poradzili z tymi panami, obiecującymi nam, że cała szlachta do nas przystanie. Oprócz walecznych bowiem rycerzy: pana pszczyńskiego, jastrzębskiego, bełskiego, dobiczowskiego, olbrachcickiego i grojeckiego, żaden z licznych panów śląskich do nas się nie przyłączył!

— Przebacz, mości hetmanie — odezwał się Czarny Jerzy, pan na zamku pszczyńskim; — my niewinni, że większa część szlachty na Śląsku zamieszkałej jest Polakami, którzy jak chłopci żyją, a mało dbają o przyrodzone prawa rycerstwa; nadto są tchórzami i boją się wypraw wojennych.

— Nie tak bardzo, jak pan sądzisz — przerwał hetman husycki z przycinkiem. — Oto dowiedziałem się przeciwnie, że największa część szlachty śląskiej znajduje się w obozie księcia Mikołaja, a rychło się przekonamy, czy są tchórzami. Znam ja Polaków i wiem z doświadczenia, że są narodem bohaterskim!

Jerzy pszczyński milczał pomieszany, gryząc wargi z powodu przycinku, który go ubódł do żywego.

— Panowie bracia! — mówił dalej hetman. — Bolesław wybierał się za długo i tracił czas nieprzepełacony, z którego przeciwnicy nasi skorzystali. Oto Mikołaj, książę raciborski zebrał tymczasem liczne wojsko, a wszystko rycerstwo polskie albo śląskie, jak je tam nazywacie, garnie się do niego. Według dzisiejszych wiadomości, ciągnie Mikołaj przeciw nam, coby się nie było stało, gdyby obietnice Bolesława opolskiego i innych panów były się spełniły, według których liczne ich wojska już oczekiwać nas miały, gdy tymczasem ledwie jako tako dopiero się zbierają. Mikołaj ruszy jutro od Raciborza, Bolesław le-

dwie za dwa dni z nami złączyć się zdoła, bo za ledwie wyszedł z Opoła! Ponieważ więc tylko na własne siły spuszczać się możemy, proszę mości panów o radę.

Na te słowa powstał Czarny Jerzy z Pszczy-ny i rzekł: Wedle mego zdania, będzie najlepiej opuścić to przekłete miasto a ruszyć ku Gliwicom, aby się prędzej z Bolesławem połączyć i zdwojoną siłą zmierzyć się z Mikołajem.

— To jest i moja rada! — odezwał się Jastrząb, a wraz z nim i kilku rycerzy.

— Nie mogę jej jednak pochwalić — odpowiedział hetman. — Cóż nam pomoże, oddalać się coraz więcej od Czech, a tem głębiej zapuszczać się w kraj śląski? Któż nam to zaręczy, jakie posiłki Bolesław wieździe? A czy mamy tymczasem pozwolić Mikołajowi raciborskiemu, aby nam powrót do Czech całkiem odciął? Rada moja jest następująca: Przedewszystkiem starać się o miejsce warowne, w którembyśmy się napadom Mikołaja opierać mogli. Miejsca lepszego, jak Żory, nie znajdziemy. Przypuśćmy więc ostatni szturm na miasto. Coby to było, żebyśmy siłami wszystkimi tej dziury nie zdobyli? Zdobywszy Żory, będziemy mieli dobre mury, o które sobie Mikołaj czepań rozbić może a my bezpiecznie albo Bolesława oczekiwać, albo stąd według potrzeby, gdzie nam się podoba, ruszyć będziemy mogli.

— Przyzwalamy! Pochwalamy! — krzyknęli jednogłośnie dowódcy husyccy, a Czarny Jerzy i Jastrząb, chcąc niechcąc, musieli się poddać woli powszechnej.

— Co chcemy czynić — rzekł hetman — czyńmy zaraz. Mamy przygotowane drabiny i narzędzia do szturmu, więc jeszcze tej nocy dalej na Żory! Spieszcie się przeto do waszych pułków, abyśmy o godzinie północnej krwawy zaczęli taniec! Kotły znak wam dadzą, każdy wie, gdzie i skąd się ma dobywać na mury, a daję wam słowo hetmańskie, że kto pierwszy będzie na murach, dziesiątą część zdobyczy żorskich otrzyma!

VIII.

W a l k a o b l ę ż o n y c h z H u s y t a m i.

Zgromadzenie rozbiegło się spiesźnie, a ruch żwawy powiększył się w obozie, gdy wojsko się dowiedziało o rozkazie i obietnicy hetmańskiej.

Ponieważ Żory nie tylko murami, ale także szeroką fosą, czyli głęboko wykopanym rowem, pełnym wody, były otoczone, przeto Husyci przygotowali kilka mostów, które miały być nad fosę rzucone, aby po nich dostać się do murów; nadto rozdzielono między pułki kilkadziesiąt drabin.

O jedenastej, albo jak wówczas liczono, o dwudziestej trzeciej godzinie, ucichł nieco ruch w obozie, wszystko bowiem było gotowe według woli hetmańskiej. Mieszczanie cieszyli się, że się Husyci uspokoili, miejsca sobie powierzonego żaden jednak nie opuścił.

Naraz przed namiotem hetmana zawrzały kotły, co było najlepszym znakiem, iż obóz nieprzyjacielski do boju się gotuje.

W mieście powstał stąd postrach ogólny, zwłaszcza, iż panowała ciemność egipska, skąd żaden z mieszczaninów nie mógł się przekonać, z której strony nieprzyjaciel naprzód uderzy. Powstał więc popłoch i płacz, dzwony wołały na trwogę, a mężowie szykowali się do broni. Wtem uka-

zała się procesya od domu Bożego. Przy świecach gorejących widać było nową chorągiew z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, którą proboszcz Ignacy burmistrzowi oddawał. Sam proboszcz chciał stanąć w szeregi walczących, burmistrz Frysztacki na to jednak nie zezwolił, mówiąc:

— Proszę cię, sługo Boży, zostań w domu Bożym, i wyciągaj ręce, jak niegdyś Mojżesz do Wszechmocnego, aby nam dał zwycięstwo. Bo wiem więcej nam swoją modlitwą, niż ręką słabą pomożesz!

Następnie zaintonował uzbrojony Steblicki, organista, oraz i pisarz miejski, starodawną pieśń: „Pod Twoją obronę.“ Z początku śpiewali ją tylko w pobliżu się znajdujący, wkrótce jednak wtórowali ją i dalej oddaleni, aż wkońcu zagrzmiła jak jeden głos, śpiewana przez wszystkie cechy klęczące na murach, z spokojem oczekując rozpoczęcia walki, która też niebawem zawrzała na dobre.

Trzymając święty obraz, stał burmistrz z początku na rynku, a około niego klęczały niewiasty i dzieci, śpiewając i błagając niebiosą o pomoc. Gdy jednak wrzawa bitwy na murach coraz więcej się wzmagala, wtenczas Frysztacki oddał chorągiew staremu Bojdołowi, który już przez pięćdziesiąt lat był ławnikiem miasta, sam zaś weiskając przyłbicę na głowę i podnosząc miecz

w górę, ruszył z cechem kupców w tę stronę, gdzie była tego największa potrzeba.

Husyci bili się zaciekle, i udało się im w niektórych miejscach dostać aż tuż pod mury, gdzie drabiny stawiali i do góry się pieśli, ale i Żorzanie nie ustępowali ani na krok. Ciskali kamieniami na zbliżającego się wroga; gdzie się tylko drabina pokazała, wywracali ją śmiało, tak że nieraz kilku Husytów naraz do wody wpadało. Gdy potem Husyci zaczęli puszczać strzały, do których były przywiązane naboje zapalające, i gdy się dom sukiennicki na rynku zapalił i jasno oświecił chorągiew święta, cały rynek i wszystkie mury, wtedy dosięgła bitwa największej zaciętości. Żarzaca się łuna pomagała obleżonym, bo widzieli tym lepiej całe niebezpieczeństwo. Burmistrz, zdało się, że nabył świeżości młodzieńczej. Gdzie walka najgorętsza, tam go widać było, jak mieczem wywijał; głos jego brzmiał jak dzwon, gdy dawał rozkazy, lub gdy walczących ku sobie wołał.

— Córki, smoły! oleju! — wołał, opierając się o miecz, gdy liczniejsza rota nieprzyjaciół ku niemu się zbliżała. A żony i córki mieszczan żorskich śmiało donosiły wrzącej smoły i gorącego oleju, i nie zważając na strzały, własnymi rękami lały na gwałtem się wdzierających poganów. Cech krawiecki tymczasem gasił ogień na rynku, a dzięki przezorności burmistrza, który wszędzie

beczki i naczynia z wodą nagotować kazał, dość prędko go ugaszono, ocalając tym sposobem przyległe domy. Przed miastem ryczał hetman od złości i mieczem pędził żołnierstwo swoje, które się wahać zaczęło, do boju, lecz wszystko daremno. W kościele klęczał staruszek, dziekan Paweł, z duchowieństwem przed Przenajświętszym Sakramentem, ręce drżące i oczy łzawe podnosił ku niebu, żebrać o zwycięstwo dla swoich owieczek.

Bojdoł wraz z innymi starcami niósł chorągiew Najświętszej Panny Częstochowskiej około murów, a widok obrazu świętego jako głos pieśni pobożnych przynosiły posiłek walczącym a ulgę rannym i umierającym, tak że na łonach i przy opiece żon i córek swoich o ranach zapominali. Obraz święty był im niby zapewnieniem, że za obronę wiary i miasta przyjdą do nieba.

Szeregi mieszczan walczących coraz więcej się zmniejszały, co chwila więcej ich leżało trupem, albo upadało rannych. Na niektórych miejscach już tylko same niewiasty broniły murów mieczami, które mężom i braciom wypadły były z rąk bezwładnych.

Trwoga stawała się coraz to większa, a burmistrz przy całej sile ducha zaczął się lękać, widząc coraz szczuplejszą garstkę mieszczan bojem osłabionych, gdy nagle trąby Husytów do odwrotu zagrały. Dziwnem to było burmistrzowi, niechciał oczom swoim wierzyć, widząc oddalają-

ce się hufce Husytów, myślał nawet w przezorności swojej, że ci to dla jakiej kryjomej zasadzki czynią i dlatego posłał rozkazy do wszystkich cechów, aby się miały na ciągłej baczności. Ale daremne były jego obawy; Husyci odciągali z największym pospiechem do obozu, a nim słońce zaszło, już na zawsze od Żorów odstąpili, nawet umarłych i rannych swoich zostawiając na polowisku. Cóż było przyczyną tak niespodzianego odwrotu? Oto hetman dowiedział się podczas szturmego nocnego przez posła, że Mikołaj, książę raciborski, od Rybnika miastu ciągnie na odsiecz.

IX.

Żory uwolnione.

Któż opíše radość mieszkańców miasta i wszystkich, którzy się w niem przed Husytami ocalili? Któż wypowie uczucia, któremi byli napełnieni, gdy przy zorzy porannej w kościele się zgromadzili, aby tryumfującym „Te Deum“ Bogu dzięki złożyć za wybawienie? Pióro nie jest zdolnem opisać tej radości, która do Żorów zawitała.

Prawdę powiedziawszy, niejedna żona męża, matka syna, siostra brata, a całe miasto niejednego oplakiwało obywatela i obywatelkę, którzy w boju polegli lub rany ciężkie odnieśli; ale i ci zasmuceni doznali osobliwszej pociechy niebieskiej w tem przekonaniu, że szczęśliwi są ci, którzy cierpią w obronie wiary i Ojczyzny. Dlatego też orszak pogrzebowy, składający się z 58 trumien, w których poległych niesiono do grobu, wystawivszy ich poprzednio na rynku, przyozdobionych liściem dębowem i kwiatami, nie wywołał zbytecznych narzekañ, bo słowo Boże przez pobożnego kapłana Pawła ich upewniło, że umarli odebrali w chwale niebieskiej koronę męczeńską.

Mieszczanie żorscy, jako wierni chrześcijanie, pochowali także poległych Husytów, w liczbie stu

osiemdziesięciu i pięciu przy drodze do Boryni w wspólnym grobie ¹⁾), starając się także o licznych rannych nieprzyjaciół, którzy na polu około miasta leżeli.

¹⁾ Przed kilku laty znaleziono przy wożeniu piasku grób i członki poległych Husytów, nawet kilka części zbroi wojennej oraz dość dobrze utrzymaną trupią głowę, z długą, czarną brodą, należącą niezawodnie do Jastrzębia, który także w potyczce przy Żorach życie postradał.

X.

Porażka Husytów pod Rybnikiem.

W tydzień później cały Śląsk od Husytów był oczyszczonym, stawili oni bowiem wraz z Bolesławem, księciem opolskim, Jerzym pszczyńskim i innymi wyrodnymi rycerzami czoło Mikołajowi, księciu raciborskiemu przy Rybniku, i zostali 13 maja 1433 roku do szczytu pobici, jako też raz na zawsze z Ojczyzny naszej wygnani. Bolesław opolski i wielka liczba rycerstwa niegodnego poległa na placu boju, i odbierając w ten sposób zapłatę za zdradę przeciw Ojczyźnie i wierze popełnioną.

Do zwycięstwa nad Husytami nie mało się też przyczynili Żorzanie, którzy pod dowództwem Frysztackiego właśnie w chwili najgorętszej bitwy na bojuwisku stanawszy, bez omieszkania na Husytów uderzyli. Ci z dwóch stron zaczepieni, tylko w ucieczce ratunek swój widzieli, który jednak nie wielu spotkał, gdyż wojownicy nasi bezustannie wroga ścigali i rąbali, co mogli.

XI.

Rybniczanie chcą zwłoki męczennika sprowadzić na cmentarz rybnicki.

Gdy rybniczanie po odpędzeniu srogich nieprzyjaciół nieco odetchnęli, pierwszym ich staraniem było, żeby zwłoki męczennika Walentego na cmentarzu, albo jak wszyscy jednogłośnie żądali, przed wielkim ołtarzem kościoła farnego należyście pochować.

Podobnego orszaku pogrzebowego, jak ten, który się wybrał z Rybnika ku Jankowicom, po zwłoki zabitego kapłana, Rybnik jeszcze nie widział. Miasta i wsi pobliskie były zupełnie puste, gdyż i najbiedniejszy wyrobnik prosił, jakby o największe szczęście, o pozwolenie, żeby mógł iść po drogiego kapłana swego, którego wszyscy kochali, jak własnego ojca.

Tysiące ludu zebrało się ze wszystkich stron od Raciborza, Gliwic i Żorów, a oprócz liczного duchowieństwa towarzyszył procesyi książę Mikołaj z całym swoim dworem i wojskiem. Z śpiewem pobożnym zbliżano się ku miejscu, które stary Mikołaj jako grób męczennika oznaczył i rzeczywiście też widać było pod młodym dębem mogiłę, niedawno widocznie usypaną.

Rozrzewniający to był widok, a w oczach i najsurowszych rycerzy łzy się zaświeciły, gdy lud na grób się rzucił, z płaczem największym zabitego wołał i rękami go chciał wygrzebywać. W tem poznać było można, jak wielką ku zmarłemu kapłanowi lud był przejęty miłością. Gdy duchowieństwo głośnie modły zaczęło, uciszył się nieco płacz, lud upadł na kolana, a przejęty głęboką pokorą czekał, póki relikwie Świętego, jak już każdy Walentego mianował, podniesione nie zostaną. Z początku najzaciejsi mieszczanie kopali dół, a potem sami kapłani ujeli rydło, aby ręce kapłańskie ciało męczeństwem poświęcone wydobyły. Lud czekał w największym milczeniu, gdy naraz niespodzianie źródło z grobu wytrysło i obficie płynąć zaczęło. Zatrwożeni kapłani nie mogli kopać dalej, a wszelkie usiłowania, ażeby źródło spuścić, były daremne, gdyż woda za każdym razem mocniejszą się okazywała.

Pytano się starego Mikołaja, czy to rzeczywiście jest miejsce grobu, szukano nawet w całej okolicy, czy w razie omyłki Mikołaja, gdzieindziej nie znajdą świeżo naruszonej ziemi, lecz wszystkie usiłowania okazały się daremnymi. Kiedy zaś kilku chorych przez nią zdrowie cudownie odzyskało, nikt już nie wątpił, że woda rzeczywiście z grobu męczennika płynie.

Źródło obfite istnieje do dzisiejszego dnia, a woda jego w dawnych czasach za wielkie le-

karstwo była uważaną. Nad źródłem stoi dąb wielki, a na nim zawieszony obraz, wyobrażający męczeństwo kapłana Walentego.

Nieszczęśliwy Maciej, syn Mikołaja, po śmierci pana swego przy Żorach, odzyskał wolność, lecz gdy chatkę swoją odnalazł spaloną, a nadto mu powiedziano, że żona i dziecko jego w płomieniach zginęły, poszedł w świat i nikt się już nie dowiedział, gdzie się podział.

Za miłosierne pogrzebanie kapłana Walentego dali Rybniczanie Mikołajowi przytułek w mieście, gdzie służył jeszcze sześć lat za grabarza przy cmentarzu miejskiego kościółka.

XII.

Ignacy.

Pominawszy wszystkie wspomniane wypadki, musimy się przenieść myślą w lat dwanaście po śmierci kapłana Walentego. Świat się nieco przemienił, o napadzie mało kto wspomniał, a tylko matki lub babki stare opowiadały działkom o strasznych okrucieństwach Husytów. Wioska Bijasowice po spaleniu już nie powstała, a mieszkańcy jej rozsypali się po pobliskich wioskach.

W Jankowicach panowała znowu łagodna stara dziedziczka, a syn jej, panicz uprzejmy, kształcił się na dworze księcia raciborskiego i tylko w święta odwiedzał swą wioskę.

Stara Magdalena, żebraczka, jeszcze żyła, lecz smutne prowadziła życie, gdyż Bóg odebrał jej na stare lata wzrok. Podporą i przewodnikiem jej był chłopczyk dwunastoletni, który ją co tydzień na zamek i po gospodarstwach wiejskich obwodził. Skąd on chłopczyk pochodził, nikt się nie pytał, bo któż się troszczy o dziadówkę i o jej dziecko. Wszyscy wiedzieli, że synem jej nie był, lecz że go po odejściu Husytów gdzieś znalazła i wychowała. Zresztą po wsiach dość się tułało dzieci, które w czasie najazdu Husytów rodziców potraciły.

Mały Ignas, tak bowiem chłopczynie było

na imię, sądził, że Magdalena jest jego prawdziwą matką. Kochał ją też jak najserdeczniej i był szczęśliwy, ponieważ i mniemana matka jego troskliwie się nim opiekowała. Z przywiązania do Matki nie odstępował jej ani na krok, a mając już lat dwanaście, nie znał jeszcze żadnych zabaw dziecięcych. Nie był też ani razu w gronie dziatki wesołych, gdyż go jako chłopca dziadowskiego nie wołano, nie wiele się także z nim wdawając. Bawił się przeto zawsze około matki, nauczył się pomału i znał na pamięć wszystkie pieśni, które Magdalena śpiewała, jako też modlitwy, które zwykła była odprawiać. Umiał odmawiać koronkę, a największą jego uciechą było, gdy Magdalenę wiódł do Rybnika do kościoła, gdzie tyle ciekawych rzeczy widywał i gdzie też jaśniejszego chleba, jak we wsi, dostawał.

Wielce się mu też podobało, gdy Magdalena piękne historyjki o Józefie egipskim, o Tobiaszu i o różnych Świętych opowiadała. Wtenczas był cały natchniony, twarzyczka jego się rozjaśniała a serce pałało miłością do Świętych, chęcią do naśladowania ich i do życia świątobliwego. Był on więc szczęśliwszy przy swojej dziadowinie, niż tysiąc dziatki innych, które od młodości na złe patrząc przykłady, więcej złego jak dobrego się uczą.

XIII.

Bóg nawiedza sierotę chorobą
opiekunki.

Ponieważ Bóg zwykle nawiedza tych, których miłuje, więc też i na Ignacego ciężkie zesłał utrapienie. Stara matka bowiem ciężko zachorowała, a po krótkiej chorobie, którą jak najcierpliwiej znosiła, czuła się bliską śmierci.

Mały Ignas płakał nieustannie i obsługiwał mateczkę drogą jak najstaranniej, aby czempredzej wyzdrowiała.

Usiłowania jego okazały się jednak daremne, a pewnego rana posłała go starowina po Księdza proboszcza do Rybnika, aby ją jeżeli można, odwiedził z Panem Jezusem. O! smutna też to była droga jego. Ileż łez wylał biedak po drodze, ileż gorących modlitw wznosił do Boga, aby mu matkę uzdrowił. Dobrodziej przyszedłszy wraz z Ignacym, zaopatrzył chorą na drogę wieczności, po którego odejściu zawołała Magdalena Ignacego do łóżka i tak się odezwała słabym, lecz spokojnym głosem: Dziecię drogie, słuchaj ostatnich słów moich; Bóg mnie woła z tego świata i chętnie idę do Niego, bo tam ujrzę Zbawiciela mego. Nie płacz, nie troszcz się o to, co z ciebie będzie, bo Ojciec niebieski, który się o lilie polne, o ptaszka biednego stara, i ciebie nie opuści, jeżeli Mu wiernem, jeżeli dobrem zo-

staniesz dziecięciem. Pamiętaj zawsze o przykazaniach Jego, módl się jak najczęściej do Niego, żyj bogobojnie, a On cię obsypie wszelkiem szczęściem. Oznajmić ci też muszę, dziecię drogie, że nie jesteś synem moim. Matka twoja była owa pobożna Jadwiga, o której ci często powiadałam, że w Bijasowicach zgorzała, gdy Husyci wioskę zapalili. Jest ona pewno w niebie, a ojciec twój poszedł daleko w świat. Znałeś grabarza w Rybniku, starego Mikołaja, u któregośmy często bywali i nocowali, ten był dziadkiem twoim.

Będiesz teraz sierotą, ale Anioł Stróż mi oznajmia, że jeszcze na ziemi ujrzysz ojca twego Macieja i że potem szczęśliwi będziecie. Widzę ja jak we mgle, że ludzi nauczać będziesz! O, napolimaj ich do dobrego, uczaj ich nieustannie, że szczęściem największem jest życie cnotliwe. Pójdź dziecię, abym ci udzieliła ostatniego błogosławieństwa!

Ignacy ukląkł z płaczem, a Magdalena położywszy ręce na głowę jego, modliła się długo i gorąco do Boga. Potem położyła się w znak i kazała mu odmawiać koronkę. Podczas tych modlitw usnęła i więcej się nie obudziła.

*

*

*

Pogrzeb niebogiej Magdaleny odbył się nader skromny na cmentarzu rybnickim, a Ignacy samuteńki szedł za marami, gorzko zawodząc

z powodu utraty ukochanej opiekunki. Gdy powrócił do Jankowic i nie wiedział, gdzie się teraz podziać, przyszedł wójt, kazał mu iść za sobą i zaprowadził go do właścicielki wioski, która dowiedziawszy się o śmierci starej Magdaleny, po sierotę posłała.

— Czembyś sobie życzył zostać? — zapytała się łagodnie. Ignacy upadł jej do nóg, a całując kraj szaty, odpowiedział otwarcie:

— Dobrym i cnotliwym człowiekiem, Jejmościnko.

— To pięknie, dziecko moje — odrzekła dziewczeczka — ale powiedz mi, kto cię żywić będzie i jak chcesz zarobić na kawałek chleba, kiedy ci Bóg zabrał matkę?

Na wspomnienie matki, łzy Ignacemu stały w oczach, wejrzał smutnie w niebo, i nie był zdolen ani słówka wypowiedzieć.

— Nie płacz sieroto — rzekła pani rozczułona. — Jeżeli chcesz być dobrym a cnotliwym człowiekiem, jak mi to oświadczyłeś, to ja się o ciebie starać będę. Oto idź do Wacława, pasterza bydła mojego, on cię przyjmie i będzie cię opatrywał.

Wójt uściskał kolana Jejmościnki, dziękując stokrotnie, że zlitowała się nad dzieckiem i odszedł do domu, aby to wszystko dalej opowiedzieć.

Odtąd prowadził Ignacy wcale inne życie, jak w domu ubogiej Magdaleny. Wacław, opie-

kun jego, był to człowiek surowy, ale przytem serca dobrego. Pasał on trzodę pańską a Ignacego brał z sobą do pomocy. Z początku niechętnie spoglądał na chłopca, bo sobie nie wiele dobrego po synu dziadowskim obiecywał, gdy jednak widział, że Ignacy był posłuszny i pilnował trzody, nabrał w krótkim czasie serca do niego i już w kilka dni dobrą pościel przy boku swoim mu nagotował, nazywając go przytem dobrym Ignakiem. Długo się modlił Ignaś, zanim się kładł na spoczynek, za Magdalene, za rodziców mu nieznanых, za dziedziczkę, za Wacława, za wszystkich ludzi, dziękując zarazem za opiekę, której mu Bóg każdego dnia udzielał.

Wacław cieszył się z pobożności dziecięcia i słuchał z upodobaniem pieśni, historyjek i modlitw jego, przytem umiłował go wkrótce jak własne dziecko.

Na pastwiskach zgromadzało się każdodziennie kilkoro dzieci, ponieważ przy trzodzie pańskiej także i wieśniacy bydło swoje pasali, a jak to bywa, było między pasterzami kilku swawolników, którzy nad małym Ignacym chcąc się pastwić, różne psoty mu wyrządzali. Spostrzegłszy to stary Wacław, wnet stanął w obronie ulubieńca swego i tak swawolników zgromił, że ich zła chęć na zawsze odeszła. Ignacy, przyzwyczajony do pokory, wszystkim pasterzom usługiwał, opowiadał im historye święte, nauczał ich pieśni i tak

błogi na nich wpływ wywierał, że odtąd bardzo mało słyhać było skarg na przedtem tak swawolnych pasterzy.

Jednak nie wszyscy z nich kochali Ignacego, a jeden nawet, imieniem Jakób, był zaciętym Ignacego nieprzyjacielem, chociaż mu ten nigdy nie złego nie uczynił. Jakób był także sierotą, ale źle wychowanym; od dzieciństwa tułał się on po wsiach, a do żebranego chleba tak się przyzwyczaił, że mu się nawet robić nie chciało. Cieleta pańskie pasał tylko z przymusu. Nudziły go też zabawy pobożne, które teraz u pasterzy coraz częściej się wznawiały, a ponieważ do zbytków swoich żadnego nie mógł namówić, obrócił gniew swój na Ignacego, któremu zemstę potajemnie obiecował.

Dnia jednego zdarzyło się, że dziewczeczka wraz z paniczem z domu wyjechali, a Jakób i Ignacy nosili drwa do kuchni pańskiej. Jakób spostrzegłszy, że drzwi do pokojów pańskich nie były zamknięte, wbiegł do niej z ciekawości, a widząc, że go nikt nie widzi, zaczął szukać po stolikach i szafach, aby co wynieść. Na nieszczęście znalazł szkatułkę, w której dziewczeczka chowała pierścionie, perły i złote łańcuszki. Bez namysłu wsunął szkatułkę pod kamizelę i biegał czempredziej za drwalnik, gdzie pod starym drzewem zdobyć swoją ukrył.

Następnie wziął się do noszenia drew, a gdy

obaczył nadchodzącego Ignacego, przyszła mu do głowy myśl nikiemna, to jest: zwalić winę i podejrzenie na niewinnego. Zaczął się łąsić około niego i wdał się z nim w przyjacielską rozmowę.

— Złoty mój Ignacku — zagadnął naraz Jakób noszącego z nim drwa towarzysza — byłeś ty już kiedy w pańskich pokojach? O, co też to tam za śliczności widzieć można!

Gdy mu Ignacy odpowiedział, że tam jeszcze nigdy nie był i żeby się nie poważył tam wstąpić, rzekł Jakób: Jeżeli chcesz, możesz dzisiaj oglądać te wspaniałości, pokój bowiem jest otwarty, a nikt nam nie przeszkodzi. Wzbraniał się nieco Ignacy, przeczuwając, że uczyni coś niepozwolonego, ale Jakób zdołał mu przymówić, powtarzając, iż to przecież nie jest żadnym grzechem, gdyż nic nie chcą ukraść. Dał się Ignacy namówić, Jakób odsunął drzwi, a wzbraniającego się chłopca pchnął ręką do izby. Ignacy oglądał się nieśmiało po izbie, lecz najbardziej podobały mu się obrazy śliczne, które życie Józefa egipskiego przedstawiały. Historia dobrze znana objawiła mu się w żywych kolorach. Przypatrywał się bardzo pilnie, zapominając o wszystkim, przeto też nie spostrzegł, gdy Jakób cichutko się wymknął i słudze domu poskarżył, że Ignacy już kilka razy był w izbie pańskiej, i że znowu się do niej zakrada. Ignacy nie mało się przeląkł, gdy sługa z cicha

nadszedł i groźnie zapytał: Czegoż tu chcesz, nieponiu?

Ignacy tłumaczył się, że go wabiły obrazy święte.

— A cóż tobie do obrazów? — odpowiedział sługa i wypchnął zawstydzonego chłopca.

Wkrótce się spełniło, co Jakób z radością przewidywał. Dziedziczka powróciła popołudniu, chciała schować naramiennik złoty, a nie znalazłszy szkatułki z klejnotami, pytała przywołanego sługi, kto był w pokoju? Sługa opowiedział jej przypadek z Ignacym, i na rozkaz pani poszukawszy go czempredzej, przyprowadził drżącego, który stał jak piorunem rażony, gdy go pani zapytała, czego w izbie szukał i gdzie szkatułkę ze złotem podział? Cóż pomogło szczere Ignacego wyznanie, coż pomogły jego zapewnienia, że niczego w izbie nie ruszył! Następnie kazał Panicz Ignacego wtrącić do więzienia, odgrажając mu, że go rozsiecze, jeżeli nie zwróci kradzieży.

Biedny Ignacy! Któż opisze boleść jego, gdy się znalazł sam, opuszczony w ciemnem więzieniu? Płakał i narzekał; aż go oczy bolały, a smutek jego zmniejszył się dopiero, gdy się udał do modlitwy.

Przypomniął sobie Józefa egipskiego i naukę matki swojej, zmarłej Magdaleny, że Bóg tym, którzy się Go boją, wszystkie przykrości zamie-

nia w szczęście. Spokojnie więc zdał się na wolę Boga, aby z nim uczynił, co Mu się podoba.

Oslabiony płaczem i zmartwieniem, usiadł na ziemi w kąciku i usnął. We śnie zaś ukazała mu się Magdalena w ślicznej szacie i upominała, pocieszając go, żeby mocno ufał w Boga, który go prędko wybawi.

Obudził się, niewiedząc jak długo spał, i usłyszał, jak grzmot raz po razie się odzywał, błyskawic jednak nie widział, gdyż okna w więzieniu nie było. Wtem zatrzęsły się mury więzienia od pioruna, który gdzieś uderzył, a Ignacy upadł na kolana i błagał Boga, aby raczył łaskawie wszelkie nieszczęście burzy oddalić.

Po tym wypadku ustała nieco burza, Ignacy zaś położywszy się na ziemi, zasnął snem sprawiedliwego.

Gdy się obudził, stał przed nim sługa wraz z Wacławem, który się serdecznie rozplakał, widząc kochanego chłopczyka leżącego na mokrej ziemi, otoczonego żabami i jaszczurkami.

— Pójdź dobre dziecko — odezwał się Wacław — pójdź, Bóg objawił niewinność twoją i skarał winnego. — Wyszedłszy Ignacy z Wacławem po schodach, przyszedł do przedsionka, gdzie znalazł panią, panicza i wielki tłum ludzi. Zatrwożeni stali wszyscy około trupa, w którym Ignacy z przestraczem poznał Jakóba, najśroźszego swego przeciwnika.

— Chodź bliżej — rzekła dziedziczka głosem łagodnym — jesteś niewinny, a Bóg skarał fałszywego twego oskarżyciela. On bowiem ukradł klejnoty moje, a zbrodnię na ciebie chciał zwalić. Bóg dobrośliwy nie dopuścił jednak, żebyś cierpiał niewinnie; kiedy bowiem Jakób z kradzieżą uciekał do lasu, aby ją schować w dziurawym debie, zabił go Sędzia sprawiedliwy piorunem. Znaleźli go ludzie, a przy nim szkatułkę z klejnotami.

— Boże, odpuść mu grzechy! — były pierwsze słowa, które Ignacy wymówił, ręce pobożnie składając.

— Pięknie to z twej strony, moje dziecko — rzekła pani — że się modlisz za nieprzyjaciela swego.

— Proszę Jejmościnki! — zawołał Wacław — Ignacy jest chłopcem bardzo pobożnym; nie wierzyłby nikt, ile on modlitw i pieśni pobożnych umie na pamięć i jak się chętnie modli. — Przy tych słowach przytulił Wacław Ignacego do siebie, serdecznie go ściskając.

— Wielce to jest chwalebne, dziecko moje — rzekła na to pani — zostań nadal cnotliwym i pobożnym, a Bóg i ja będziemy pamiętać o tobie.

Kazawszy potem zwłoki Jakóba odwieść na cmentarz rybnicki, zawiadomiła Księdza proboszcza przez sługę o wszystkim, co się dnia tego stało na dworze jankowickim.

Minęło kilka miesięcy od owego okropnego zdarzenia, kiedy drogą ku Jankowicom szedł proboszcz Franciszek z Rybnika, ważnemi zajęty myślami.

Będąc już blisko Jankowie, zwrócił swe kroki zamiast do wioski wprost ku lasowi, tuląc się w płaszczyz ostrożnie, żeby go nikt nie poznał. Doszły go bowiem różne wieści o pewnym pastuchu jankowickim, który w lesie na pastwisku miał odprawiać kazania i nabożeństwa. Posłał on też przed kilku dniami kościelnego swego do Jankowie, aby się dokładnie dowiedzieć, co od różnych słyszał ludzi, ten mu zaś tyle narozprawiał o kazaniach pasterza, iż postanowił o tem naocznie się przekonać.

Idąc lasem natrafił gajowego, który go poznał i serdecznie powitał. Proboszcz rad z tej okazyi, kazał mu się zaprowadzić na miejsce, gdzie się nabożeństwa pasterskie odbywają.

— Właśnie też tam idę — odpowiedział gajowy — gdyż jestto prawdziwą uciechą, słuchać dziecię tak osobliwie od Boga obdarzone.

Ksiądz proboszcz poprosił gajowego, aby go na takie miejsce zawiódł, gdzieby z ukrycia wszystko mógł widzieć i słyszeć. Gajowy przeto, chcąc się Wielebnemu Ojcu duchownemu przysłużyć, zaprowadził go do gęstwiny przy samem pastwisku, ukazując mu także dąb, przy którym

zwykle pasterz Ignacy nauki, modlitwy i pieśni odprawia.

Był to dąb wielki, kilka łokci nad ziemią rozdzielony na trzy odnogi, z których jedna przy samym pniu złamana była, tak że tylko pniak dwa łokcie wysoki sterczał do góry. W dębie znajdowała się dziura, lecz tak wysoko, że człowiek z ledwością ją mógł dosięgnąć. Pod dębem był ołtarz ułożony z darniny zielonej, a na nim stało kilka doniczek i garnuszków z kwiatkami, za dębem zaś stała mała drabinka. Dąb ów był to ten sam, do którego dziury Jakób chciał szkatułkę ukradzioną schować, gdy go piorun zabił.

Zdala słychać było gwar pasterzy i ryczenie bydła, ksiądz proboszcz ukrył się przeto jak najlepiej, oczekując z upragnieniem, co dalej nastąpi.

Niebawem przybyli pasterze, a puściwszy bydło na paszę, zgromadzili się około wspomnianego drzewa. Ignacy, bo on to był owym mówiącym kazanie pasterzem, ukląkł przed ołtarzem, a wraz z nim stary Wacław i wszyscy pasterze i pasterki, poczem zanucili pieśń pobożną. Gdy ją skończyli, wstąpił Ignacy po drabinie na dąb, stanął na złamanej odnodze i zaczął opowiadać przypowieść o marnotrawnym synu.

Ukryty Ksiądz proboszcz słuchał z całą uwagą i nie tylko postacią chłopczyny, ale więcej jeszcze wymową jego nadzwyczaj był zajęty. Zapalał wewnętrzny nauczającego Ignacego obja-

wiał się w ruchach, twarzy rumianej, wogóle w całej jego postaci, a Ksiądz proboszcz nie mógł wyjść z zadziwienia, słysząc po skończonej historii tkliwie nauki z ust chłopca jak woda płynące. Widział kapłan, z jak wielkim zapalem przytomni słuchali, widział łzy w oczach słuchaczy, gdy Ignacy dowodził, że wszyscy jesteśmy synami marnotrawnymi, a że Bóg jest Ojcem, który nam chętnie odpuszcza winy, jeżeli się ze skruczą i żalem do Niego zbliżamy.

Mały kaznodzieja zstąpił następnie z dębu, odmówił przed zielonym ołtarzem akt żalu i skruchy, zanucił następnie pieśń „Pod Twoją obronę“, poczem się nabożeństwo skończyło, a pasterze odeszli, aby doglądać swego bydła.

Teraz wyszedł też niepostrzeżony od pasterzy Ksiądz proboszcz z kryjówki, zwracając kroki swoje wprost ku zamkowi jankowickiemu, zajęty myślami, które zdradzały niemałą troskliwość w pewnej rzeczy:

Rozmowa jego z dziedziczką długo trwała, która wreszcie na żądanie proboszcza kazała zawołać wójta i ławników wioski. Ci jednogłośnie pobożność małego Ignacego wychwalali i na żądanie kapłana chętnie przystali, aby zebrać składkę pieniężną i Ignacego odesłać do szkół, żeby kiedyś mógł dostąpić godności kapłańskiej i stać się prawdziwym kaznodzieją.

Mały Ignacy zląkł się niemało, gdy go do pani i przed Księdza proboszcza zawołano.

— Nie bój się, synu mój — rzekł tenże słowy pocieszającemi — kocham cię, bom słyszał, że jesteś dziecięciem bogobojnem. Ale powiedz mi, skąd nabyłeś tak pięknych nauk, któreś na dębie opowiedział?

— Wszystko, co wiem — odpowiedział pokornie nieśmiały Ignacy — nauczyła mnie moja uboga matka, przed śmiercią jeszcze mnie napominając, abym ludzi nauczał, gdyż niema szczęścia dla człowieka, jak tylko, gdy prowadzi życie cnotliwe. Kiedy zaś stanę na tym dębie, pod którym Bóg tak okropnie skarał Jakóba, a przez to objawił moją niewinność, to mi tyle przychodzi dobrych myśli do głowy, że ledwo je wypowiedzieć zdołam. Dziwuję się sam temu, lecz niewiem, skąd to pochodzi, że tylko na tym dębie tak pięknie umiem przemawiać, na innem natomiast miejscu z tego wszystkiego ani dziesiątej części nie wiem.

Długo jeszcze rozmawiał Ksiądz proboszcz z obecnymi, wreszcie żegnając się z wszystkimi, przyobiegał, że na Narodzenie Najświętszej Maryi Panny pojedzie z bratem swoim Janem, burmistrzem żorskim, do Częstochowy i weźmie chłopca z sobą, aby go w klasztorze częstochowskim u Ojców Paulinów, lub też w szkołach krakowskich umieścić.

Obietnica ta spełniła się wkrótce. Dziedziczka i wieśniacy jankowiccy zebrali znaczną składkę, oddali ją wraz z Ignacym Księdzu proboszczowi, a ten w towarzystwie brata swego, burmistrza żorskiego, zawiózł chłopca do Częstochowy, gdzie został przyjęty do szkół klasztornych.

XIV.

D w a j z a k o n n i c y.

Od czasu powyżej opowiedzianego upłynęło znowu lat dwanaście, a w świecie dużo się w tym czasie zmieniło.

Dziedziczka jankowicka dwa lata już spoczywała w grobie; syn jej objął dziedzictwo na własną rękę i dobrym był panem, za co go też zewsząd chwalono. Ksiądz proboszcz Franciszek był już siwym staruszką, i chętnie opowiadał Jankowiczanom o Ignacym, o jego pilności i poczciwości, któremi się w szkołach częstochowskich, a później w krakowskich odznaczał.

Długo go też sędziwy kapłan nie widział, gdyż siły go opuściły, a odkąd brat jego ukochany pożegnał się z żywotem doczesnym, nie odważył się sam dla swej słabości puścić w tak daleką i z wielkimi trudnościami połączoną podróż do Jasnejgóry.

Tak to wszystko mija na świecie! Największa też część osób, któreśmy na początku powieści naszej poznali, już dawno poszła do grobu. Nie tylko dobrzy, jak to proboszcz Paweł, organista Steblicki, i wielka część mieszczan, którzy Żorów przed napadem Husytów bronili, spali snem sprawiedliwych, oczekując głosu Syna Bożego, który ich ciała wzbudzi do szczęśliwości wiecznej, ale także i źli, a między innymi Jerzy pszczyński, Jastrząb i towarzysze jego, także już byli pod ziemią, lecz zbrodnie ich ciążyły na ich grobach, w których ciała oczekują głosu sprawiedliwego Sędziego. A jak cnoty pobożności przez długi czas jeszcze świeciły w Żorach, tak zbrodnie długo jeszcze panowały na zamkach rozbójniczych.

*

*

*

Pewnego poranku, a było to w miesiącu lipcu, postępowało dwóch zakonników w habitach Paulińskich ku Jankowicom. Jeden z nich starszy już był, i ciężką dla niego była droga w suchym piasku; drugi jeszcze młody, i tylko ze względu na słabość towarzysza, szedł powoli, w przeciwnym razie byłby jak na skrzydłach leciał ku wiosce rodzinnej.

Jak się Czytelnicy nasi niezawodnie domyśla, młodszym zakonnikiem był to nasz Ignacy, który nauki swoje chwalebnie ukończywszy w Krakowie, wyświęcony został na księdza, i wstąpiwszy

do zakonu Ojców Paulinów w Częstochowie, pierwszą Mszę świętą przed dwoma tygodniami tamże odprawił. Postać jego była wysoka i ujmująca każdego, który nań patrzył.

Towarzysz jego tymczasem, był sobie prostym zakonnikiem, lecz nie księdzem. Choć ich wiek rozdzielał, miłość wzajemna jednak dziwnym ich wiązała węzłem. Przez cały czas pobytu swego na naukach w Częstochowie doznawał Ignacy od brata Bonifacego najstaranniejszej opieki, a gdy z Krakowa wyświęcony powrócił, radość dawnego opiekuna nie znała granic. Wzajemne przywiązanie było też powodem, że starszek Bonifacy nowo wyświęconemu księdzu Ignacemu towarzyszył w drodze do Rybnika, gdzie młody kapłan sędziwemu proboszczowi za wszystkie dobrodziejstwa jego pragnął podziękować. Obaj zbliżali się do Jankowic, pomimo to jeden drugiemu nie objawił, że się zbliżają do wioski rodzinnej, zakon bowiem wymaga tego od zakonnika, aby z pierwszym krokiem do klasztoru zapominał całą przeszłość i zaczął doskonalsze, nowe życie. Milczeli przeto oboje, lecz serca ich były napełnione różnemi tkliwemi uczuciami.

Ksiądz Ignacy cieszył się, że odwiedzi miejsca swojej młodości, lecz brat Bonifacy stawał się coraz smutniejszym, im więcej przybliżał się do wioski, w której niegdyś był dożył ciężkich doświadczeń.

Gdy przyszli na miejsce, gdzie niegdyś była wioska Bijasowice, Bonifacy coraz więcej ustawał, a gdy się zbliżyli ku studni i dębowi, na którym wisiał obraz przedstawiający męczeństwo kapłana świątobliwego Walentego, rzekł: Przewielebny Ojcze, zostanę ja tu nieco, aby się nieco pomodlić i spocząć. Ty zaś idź dalej do wioski, gdzie ja wkrótce za tobą przybędę.

Nie chciał ksiądz Ignacy opuścić towarzysza, aż gdy ten niezachwianie przy woli swojej obstawał, rzekł do niego: Spocznij więc, kochany bracie, ja pójdę nieco w las i niedługo znowu powrócę.

Ksiądz Ignacy zwrócił swoje kroki ku dębowi, który dla niego wielką był pamiątką i świadkiem dawnych zdarzeń jego młodości. Przyszedszy na pastwisko, witał z daleka dąb miły, który od owych czasów mało się odmienił. Raziło go jednak boleśnie, że zamiast dawnego zielonego ołtarza i kwiatów, ujrzał pod dębem tylko kupę ziemi.

Chciał się zbliżyć ku dębowi, gdy wtem wyszedł stary gajowy z lasu i zawołał: Ojcze wielebny, nie chodź dalej, bo w dębie tym zamieszkały tak zajadłe pszczoły, że każdego zbliżającego się chcą zakłóć.

Widocznie staruszek w wielebnym księdzu nie poznał małego kaznodziei, którego niegdyś tak gorliwym był słuchaczem. Ksiądz Ignacy

natomiast wielce się ucieszył, że po tak długim czasie ujrzał znowu znajomego. Nie oznajmując mu wszelako, kimby sam był, zapytał: Powiedz mi, starcze, jak dawno pszczoły w miejscu tem się przetrzymują.

Gajowy zdjawszy z uszanowaniem czapkę, spojrzał pokornie na dąb, a następnie zaczął opowiadać o Ignacym i jego kazaniach, o Jakóbie zabitym od pioruna, wkońcu dodając: Od czasu, jak Ignacego wzięto do szkół, zamieszkały w dębnie tym pszczoły i każdego zbliżającego się zajadle odpędzają. Z tego powodu podupadł także ołtarzyk, gdyż pszczoły nawet i w zimie bronią przystępu do drzewa. Dzieją się tu także dziwne rzeczy. Widzieli tu ludzie często światłość nadzwyczajną i słyszeli w cichych nocach nadziemskie śpiewy, jakby pochodzące od Aniołów. Dzwonne te widzenia zaczynają się zwykle przy studziencie, gdzie kapłan Walenty zabity został, a zbliżają się jak w procesyi ku temu dębowi. I ja już nieraz słyszałem jakieś pienia i widziałem światłość cudowną, lecz żaden z nas nie wie, skąd one właściwie pochodzą. — Nie czekając gajowy na odpowiedź, odszedł i zostawił księdza wzruszonego do głębi serca. Jakieś nadzwyczajne uczucie zawładnęło duszą kapłana, zachęcające go, żeby się przybliżył do dęba. Zasłoniwszy się przeto kapturem, postępował pobożny duszpasterz ostrożnie coraz bliżej wspomnianego miejsca, a pszczo-

ły jakoby z uszanowania latały około niego i sia-
dały nawet na rękę jego, lecz żadna go nie u-
kąsiła.

Tem wszystkiem ośmielony, postępował co-
raz dalej, aż przyszedł do samego dębu i zadzi-
wił się wielce, że pszczoły naraz się gdzieś po-
działy. Ponieważ zaś w otworze żadnej nie spo-
strzegł, wstąpił przeto na kupkę ziemi z byłego
niegdyś ołtarza powstałą, zajrzał do otworu i zo-
baczył tam plaster miodu. Nie widząc w tem
nic osobliwego, dobył plaster, aby miodu sko-
sztować i swojemu towarzyszowi nieco przynieść
na posiłek. Wyjawszy go jednak, spostrzegł
ku niemałemu zdziwieniu jeszcze drugi plaster,
a w nim złoty okrągły talerzyk, starannie od
pszczoł woskiem otoczony. Przypatruje się dzi-
wnej robocie, bo talerzyk tylko na krajach był do
plastru przyprawiony, gdy tymczasem środek je-
go okrągły lśnił się, jak gdyby był nowiuteńki.

Skąd się tu mógł wziąć złoty talerzyk? pyta
samego siebie kapłan Ignacy, gdy tu naraz widzi
małe drzwiczki, jakie się zwykle znajdują przy pa-
tenie, w której kapłan nosi do chorego Przenaj-
świętszą Hostyę. Miałaby to być patena ko-
ścielna? lecz jakże się tu dostała? Wzruszony do
głębi tem widowiskiem, namyśla się coby tu po-
cząć, gdy wtem nagle przenika go myśl, czy to
czasem nie ta sama Najświętsza Hostya, którą
kapłan Walenty ukrył przed Husytami? Jak

bowiem twierdził stary Mikołaj, który był świadkiem śmierci Walentego, nie znaleźli Husyci świętości, ani jej też nie znaleziono w lesie około miejsca męczeństwa! Drżącą ręką otwiera więc drzwiczki, i o dziwo, oczekiwanie jego się spełniło, gdyż przed sobą ujrzał jak śnieg białą Hostyę.

W pokorze upadł kapłan Ignacy na ziemię, aby oddać ukłon najgłębszy cudownie zachowanemu Zbawicielowi, poczem zawarłszy znowu patenę, włożył plaster z powrotem na swoje miejsce.

Zdało się, jak gdyby pszczoły na to tylko czekały, gdyż zaraz poczęły się zlatywać ze wszystkich stron, okazując swą radość wesołym brzękiem.

Dziękując Bogu za szczęście i osobliwą łaskę, wracał kapłan Ignacy do swego towarzysza, którego przy studni więcej nie znalazł. Oglądając się na wszystkie strony, ujrzał nareszcie brata Bonifacego krzyżem leżącego na ziemi, i to prawie na tem samym miejscu, gdzie niegdyś, jak słyszał od ubogiej Magdaleny, stała chałupka jego rodziców.

Słyszac kroki zbliżającego się Ignacego, wstał szybko Bonifacy z ziemi i usiadł na poblizkim pniu. Twarz jego zbladła i oczy zapłakane wyrażały jaknajwidoczniej, że wiele cierpiał.

Ksiądz Ignacy pytał się troskliwie, coby towarzysza tak ciężko trapiło, na co Bonifacy odpowiedział drżącym głosem: Wielebny Ojciec, usiadź

przy mnie, a co ci oznajmię, chowaj jakby spowiedź, której żadne ucho ludzkie nie ma słyszeć. Jak Ci już od dawna wiadomo, przywiązanie moje ku Tobie jest tak wielkie, że nic przed Tobą nie mogę zamilczeć. Myślałeś, że miłość ku Tobie jedynym była powodem tego, że Ci w tej podróży towarzyszyłem? Nie tak! Ciągnęło mnie serce moje do tych okolic, w których młodość moją przepędziłem i tyle szczęścia, ale jeszcze więcej nieszczęścia doczesnego skosztowałem. Byłem młodym, szczęśliwym przy boku młodej, ukochanej żony. Wtem dziedzic niemiłosierny oderwał mnie od niej, zawarł przy psach na zamku jastrzębskim, aby żonę tem łatwiej przymusić do zezwolenia na jego grzeszne żądanie. Po kilku miesiącach nieznosnego więzienia odzyskałem wolność, gdy Bóg gnębiiciela mego skarał śmiercią pod murami żorskimi. Spieszyłem jak najprędzej do ojca mego, do chatki i do żony drogiej, która tymczasem syna była powiła. Lecz los tak zrządził, iż nie znalazłem ani chatki, ani żony, ani syna, którego tak bardzo uściskać pragnąłem. Na zgłiszczach domku rodzinnego dowiedziałem się, że Husyci pomieszkanie spalili, a żona chorująca i dziecko w płomieniach zginęły. Ponieważ zaś tu jest miejsce mej chatki, przeto uważam je także za grób mej żony i jedynego dziecięcia. — Przy tych słowach zakrył Bonifacy oczy i głośno zapłakał.

Wtem jednak Ignacy rzucił się mu do nóg, wołając jak oszołomiony radością: Ojcie mój, ja jestem rodzonym synem twoim, którego stratę oplakujesz! Oto tu zaprawdę stała chatka nasza! Tu matka nieboga zginęła w płomieniach, ale syna twojego wyratowała stara Magdalena i wychowała. Oto syn twój klęczy u nóg twoich i szczęśliwy, że mu Bóg użyczył tak niezmiernego szczęścia, iż wreszcie może poznać i uściskać ojca swojego!

Niespodziewana wiadomość uderzyła tak mocno w serce ojca boleścią przejęte, że się ani z miejsca nie mógł ruszyć i słówka nie był zdolny wyrzec. Przyszedłszy zwolna do siebie, nie dowierzał szczęściu niezmiernemu, które do serca jego kołatało. Gdy się przekonał, że nie we śnie, ale na jawie syna swojego widzi przed sobą, rzucił się Ignacemu klęczącemu na piersi i z radości rzewnie zapłakał.

Dziwne zaiste są drogi Pańskie! Maciej, albo jak się teraz nazywa, brat Bonifacy, uciekł jak na początku powieści powiedziano, w największej rozpacz z Bijasowie, gdzie płomienie pożarły żonę i jego dziecię. Z bólem w sercu poszedł do Częstochowy, gdzie został zakonnikiem; tymczasem Bóg dobrotliwy zaprowadził przez proboszcza rybnickiego syna jego także do Częstochowy, jakoby chciał, iżby ojciec synowi był opiekunem. Któż tu nie pozna opatrności Ojca niebieskiego

i jak dziwnemi ona drogami prowadzi dziatki swoje do szczęścia! Ale poznajmy też, że Bóg dobrotliwy tylko cnotliwymi i bogobojnymi tak osobliwie się opiekuje. Spełniły się tu słowa Piśma świętego, że Bóg dla rodziców bogobojnych błogosławi dzieciom i na dalekie pokolenia! Oto stary Mikołaj był cnotliwy, nie mniej synowa jego Jadwiga, która chętnie ponosiła nędzę największą, aby tylko nie stracić cnoty niewieściej. A że stary Mikołaj pochował męczennika Walentego z niebezpieczeństwem własnego życia, więc Bóg pamięta o uczynku miłosierdzia i wnuka jego powołuje nie tylko na stopień kapłański, ale w nagrodę udziela mu tego szczęścia, że tenże znajduje Najświętszy Sakrament, od tak dawna już schowany. Jeszcze więcej, Bóg sprowadza ojca i syna na miejsce rodzinne, aby się na zgłiszczach domu rodzinnego poznali. Tak Bóg obficie nagradza, jeżeli przez życie cnotliwe na Jego łaskę zasługujemy.

Wielbiąc Boga, powrócili obaj zakonnicy do Rybnika, a wieść o znalezieniu Hostyi Najświętszej rozniosła się jak błyskawica po całej okolicy.

W dzień naznaczony zgromadziły się tysiące nabożnych, aby Hostyę świętą z największą uroczystością odprowadzić do kościoła rybnickiego.

Pszczoły nie przeszkadzały więcej, owszem z brzęczeniem wesołym odprowadzały procesyę

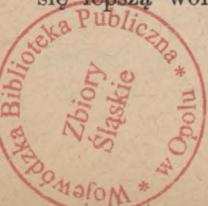
z Przenajświętszym Sakramentem do Rybnika. Potem odleciały i więcej nie powróciły do dęba, jak gdyby chciały przez to pokazać, że tylko stróżami Świętości były przed rękami niegodnemi, aby nikt nie znieważył utajonego Zbawiciela.

Jankowiczanie w miejscu świętem wybudowali kościół, a ołtarz postavili na pniu owego dęba, w którym Przenajświętszy Sakrament przebywał. Pień ów jeszcze dzisiaj stoi pod ołtarzem kościoła jankowickiego, a odpust główny odbywa się tam na pamiątkę dawnych cudów w święto Bożego Ciała aż po dzień dzisiejszy.

Zakonnik brat Bonifacy i syn jego, ksiądz Ignacy, powrócili znowu do Częstochowy i tam po długim czasie zakończyli życie bogobojne. Zamki w Pszczynie, w Jastrzębiu, w Bełku i Grójcu, były znowu gniazdami rycerzy rozbójniczych aż do roku 1474. W tym czasie dopiero przyszedł Maciej, król węgierski, z wojskiem wielkiem do Śląska, zdobył zamki, gniazda rabusiów rozwalił, a rycerzy niegodziwych popowieszał.

Pożegnajmy się z czasami wieku piętnastego, w którym Bóg takiego panowania i takiego ucisku ludu dopuścił; dziękujmy Bogu, że wiek dzisiejszy przynajmniej pod tym względem cieszy się lepszą wolnością.

K O N I E C .



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Chatka wieśniacza	3
II. Jastrząb, zamek rozbójniczy	12
III. Ksiądz kapelan Walenty, męczennik w obronie wiary	19
IV. Boże Ciało podczas oblężenia Żorów przez Hu- syków	23
V. Żorzenie gotują się na śmierć	38
VI. Narada mieszczan żorskich	44
VII. Szczęśliwy posłaniec. — Dobra nowina	48
VIII. Walka oblężonych z Husytami	54
IX. Żory uwolnione	59
X. Porażka Husytów pod Rybnikiem	61
XI. Rybniczanie chcą zwłoki męczennika sprowadzić na cmentarz rybnicki	62
XII. Ignacy	65
XIII. Bóg nawiedza sierotę chorobą opiekunki	67
XIV. Dwaj zakonnicy	80

Nakładem i drukiem K. Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.
Mikołów, Wojew. Śląskie.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

21282 Ś



001-021282-00-0